

Ich praca ważnym ogniwem w powstawaniu gazety...

vanu gazety...

Wy- radzka, Kazimierz Skrobacz,
Li- Kazimierz Stankiewicz, Ka-
In- zimierz Suder, Zbigniew Świ-
ak- dowski, Elżbieta Ziolkowska i

ji Prasowej

**Rozmowa z kierownikiem Oddziału PAP w Krakowie
red. LESZKIEM MAZANEM**

A black and white photograph of a man, likely a member of the British Royal Family, wearing a crown and a suit. He is looking directly at the camera with a serious expression. The image is grainy and has a high-contrast, almost stencil-like quality.

Angażowały go wszystkie instytucje centralne...? A wspianiale zapowiadająca się karierę, zakończył w dniu, kiedy mylać szyfry postawił całą Flotę Bałtyka w ston ostrego

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

W dziale | Rec

nie udziału, Roz
nie nic nie przy

Rozpoczął się proces przywódców „KSS-KOR”

arijw Bonarcu" Nagrody

WARSZAWA
przed sądem
Okregu Wo
szawie rozp
przeciwko
nielegalnej
mitetu SAM
nej — K

Nagrody

wysięgu zbrojen na te sfery jeszcze bardziej wzmogłoby groźbę wybuchu konfliktu atomowego i bardzo utrudniłoby możliwość osiągnięcia porozumienia w sprawie rozbrojenia. Uczestnicy narady podkreślali znaczenie propozycji wysuniętej przez Związek Radziecki, aby bezzwłocznie przystąpić do rozmów na temat zaobserwowanej militarystyki kosmosu i wyraził pełne poparcie dla tej

Nagrody

Reprezentowane na naradzie partie nalegają na zaprzestanie rozmieszczania w Europie zachodniej amerykańskich rad.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Nagrody kołobrzeskiego festiwalu

(Inf. wi.) W związku z awarią jaka nastąpiła w ostatniej drodze informacja, która została przekazana przez Inspekcję Ochrony Środowiska — Bolesławianiną podaną w czwartek notatkę.

Okazuje się, że awaria nastąpiła z powodu niedoborów pracowników „Bonarki” — raliużę na zakładzie jako ogromny odłupany piłem na wysokość 2 m. A nawet użyciu chociażby domowego odkurzacza, jest opóźniona po każdym sprzątaniu. W „Bonarce” nie usuwano pyłu od miesięcy. Wypelnienie filtracyjną ponad miarę. Jak twierdzi dybucha na zewnątrz, spowodowała drobna awaria, ale była ona jedynie przyswyołowa. Cały zakład już wcześniej miał uszczelniony. Warunki pogodowe również przyczyniły się do masowego w komorze pyłu. Dusząca odpyłu na os. Podwawelskie ale również Wielkie i Wola Duchacka.

Zakłady „Bonarka” na wniosek Państwa Ochrony Środowiska (a nie Wydziału Ochrony) wydały polecenie zamknięcia zakładu aż do czasu, aż wszystkie szwankujące urządzenia, w tym chłodziwa na Krakówem pokazać się.

Do wczoraj dyrektor Malecki nie otrzymał informacji o zakończeniu prac.

nia w „Bonar-
ziąsławie w „Ga-
tor Państwowej
Małecki, uzupeł-
nił gigantycz-
nizbrymnia komo-
nacka była zaszy-
wie, że przy
wnętrze należy
” okazuje się,
też one komorę
B. Małecki, wy-
niara w dniu 11
płpła dopuściła
żoną instalacje,
o wybuchu sko-
nura posiada nie
na osi: Plaski
owej Inspekcji
ni Srodowiska)
momentu napra-
raz drugi, tru-
może!
ród od „winnych”
(młd)

Z prac Rady Ministrów

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

założenia Centralnego Planu Roczego na 1985 r. Zobowiązano organy administracji państwowej do współuczestniczenia w organizacji i przeprowadzenia konsultacji. Zalecono korzystanie z pomocy wyspecjalizowanych instytucji badawczych i opinii publicznej i badania masowego przekazu. Konsultacje przeprowadzane będą do końca września br., a ich wyniki przedstawiane zostaną Radzie Ministrów.

Rada Ministrów podjęła też uchwałę o instrumentach sterowania realizacją planów centralnych oraz o zamówieniach rządowych i programach operacyjnych w 1985 roku.

Postanowiono, że rozwiązania i mechanizmy reformy gospodarczej w 1985 r. nie u-

legną istotnym zmianom. Zastrzeżono natomiast, że niektóre parametry ekonomiczne.

Utrzymano dotychczasowy zakres i system zamówień rządowych oraz programów operacyjnych.

Rada Ministrów przyjęła projekty dwu ustaw: o podatku rolnym i o funduszu gminnym. Projekty te rząd skieruje do Sejmu PRL. Zakłada się, że nowe ustawy obowiązować będą od 1 stycznia 1985 r. Za drugie półrocze bieżącego roku rolnicy płacić będą podatek w takiej wysokości jak za pierwsze półrocze, a więc według dotychczas obowiązujących zasad.

Rada Ministrów zapoznała się ze stanem przepisów wykonawczych do ustaw, które weszły w życie w okresie od 1 stycznia 1982 r. do 1 lipca

1984 r. W tym czasie wydano 503 wykonawcze akty rządowe, a w opracowaniu pozostały jeszcze 123 przepisy. Rada Ministrów zobowiązała właściwe organy administracji państwowej do pilnego uzupełnienia luk powstałych w tym zakresie oraz do przedłożenia do końca III kwartału br. odpowiednich projektów.

*

Rada Ministrów zobowiązała ministra ds. cen do przedstawienia na następnym lipcowym posiedzeniu rządu projektu uchwały w sprawie przedłużenia do końca bieżącego roku zakazu podnoszenia cen umownych na przemysłowe artykuły rynkowe z wyjątkiem przypadków, w których wzrost ten wynika z czynników niezależnych od przedsiębiorstw.

Ogólnopolska narada członków kolegiów do spraw wykroczeń

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

mość i postawy obywateli, nabierając tym samym rangi problemu politycznego. Wielu przedstawicieli załóg robotniczych wypowiadało się krytycznie podczas XVI Plenum KC PZPR o sprawach zwalczania przestępczości kryminalnej, gospodarczej, w tym spekulacji.

Wytłószono wysiłki organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości sprawiły, że minimalizowane zostały w ostatnim okresie zjawiska zbiorowych naruszeń porządku publicznego. Niewystarczające są efekty w zakresie zwalczania przestępczości gospodarczej, ujawniania i represjonowania osób żyjących ponad stan legalnych dochodów, nadal wysoki jest udział w przestępczości osób uchylających się od pracy i nieprzeżywania.

MO rocznie ujawnia od 7 do 8 mln wykroczeń. Wobec ok. 55 proc. sprawców wykroczeń stosuje się środki oddziaływania wychowawczego, prawie 40 proc. zostaje ukaranych w postępowaniu mandatom, a tylko w ok. 5 proc.

spraw kierowany jest wniosek o ukaranie do kolegiów.

Kolegia rozpatruje rocznie ponad 500 tys. spraw, w tym tylko 10 proc. w trybie przyspieszonym. Stosując zasadę indywidualizacji kar, systematycznie zwiększają presję zwłaszcza ekonomiczną.

Kolegia koncentruje swą uwagę na zwalczaniu wykroczeń drogowych, przeciwko interesom konsumentów, przeciwko obowiązkowi pracy oraz wykroczeniom popełnianym pod wpływem alkoholu.

Kara dodatkowa podania orzeczenia do publicznej wiadomości jest generalnie niedoceniana przez kolegia. W stosunku do obwinionych, zatrudnionych w jednostkach gospodarki społecznej, należałoby ją orzekać zawsze wówczas, gdy pożądanego jest wychowawcze oddziaływanie kolektywne na obwinionego.

Polityka karania przez kolegia była w kwietniu przedmiotem posiedzenia Prezydium Komitetu Rady Ministrów ds. Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej. Uznano

m. in. potrzebę wydania nowych wytycznych co do polityki orzeczniczej dostosowanych do obecnej sytuacji społeczno-gospodarczej kraju.

Podjęte zostały prace nad nowelizacją prawa o wykroczeniach. Rozważa się m. in. podwyższenie górnej granicy grzywny i powiązanie jej z dzienną stawką wynagrodzenia.

Stan zagrożenia wymaga z jednej strony nasilenia profilaktycznych i wychowawczych oddziaływań kolegiów, z drugiej zaś zaostrożenia represji wszędzie tam, gdzie działalność wychowawcza nie przynosi rezultatów.

Nie czekając na wydanie wytycznych co do polityki orzeczniczej, kolegia już teraz powinny dążyć do stań, aby sprawowane przez nie orzecznictwo w sprawach o wykroczeniach, zasadnie zwane małym wymiarem sprawiedliwości, wyprzedzało w pełni wynikiacy z obecnej sytuacji w kraju i stanu zagrożenia konieczności zaostrożenia represji, realizując przy tym zasadę sprawiedliwości społecznej.

Konieczne jest nasilenie działań, propagujących walory i osiągnięcia socjalizmu

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

kieć jądrowych średniego zasięgu i oświadczenia, że jeśli poczyni się kroki prowadzące do wycofania już rozmieszczonych rakiet, to podjęte zostaną przedsięwzięcia zmierzające do uchylenia kontrosumień. Stworzy to podstawę do wznowienia rozmów w celu osiągnięcia odpowiednich porozumień w sprawie uwolnienia Europy od broni jądrowej zarówno średniego zasięgu, jak i taktycznej.

Uczestnicy narady podkreślili szczególne znaczenie dalszego argumentowanego wyjaśniania oraz realizacji inicjatyw wysuniętych w praktyce deklaracji politycznej Państw — Stron Układu Warszawskiego (5 stycznia 1983), we wspólnym oświadczeniu moskiewskiego spotkania przywódców partynich i państwowych krajów socjalistycznych (28 czerwca 1983), deklaracji narady gospodarczej państw członkowskich RWPg na najwyższym szczeblu. Utrzymanie pokoju i międzynarodowej współpracy gospodarczej (14 czerwca 1984) oraz w innych propozycjach krajów socjalistycznych zmierzających do stworzenia warunków dla prowadzenia poważnych i rzeczowych rozmów w sprawie ograniczenia i redukcji zbrojeń na zasadzie równości i jedynakowego bezpieczeństwa stron, dla uzdrowienia międzynarodowego klimatu politycznego.

Gwarancja sukcesów w walce przeciwko groźbie wojny jądrowej jest potęgą i jednością krajów socjalistycznych, zwrócić należy uwagę na ich komunistycznych i robotniczych opartych na zasadach marksizmu-leninizmu i socjalistycznej międzynarodowości, co oznacza całkowitą solidarność i partyną pomoc wzajemną, całkowitą równoprawność, nieingerencję w sprawy wewnętrzne, poszanowanie praw każdej partii do samodzielnego określania i realizacji własnej linii politycznej. Uczestnicy narady oświadczili się za umocnienie solidarności i współdziałania wszystkich partii komunistycznych i robotniczych. Wyrażili gotowość prowadzenia aktywnego dialogu politycznego i współpracowania z car-

kami socjalistycznymi i socjaldemokratycznymi, z różnymi siłami społecznymi i politycznymi w szeregach ruchu antywojennego i antyrakietowego, aby poszukiwać dróg do polowania kresu wysiłków zbrojeń, przede wszystkim jądrowych.

Na naradzie podkreślano, że nasileniu się militarysty w państwach imperialistycznych towarzyszy wzmaganie dywersji ideologicznej przeciw krajom socjalistycznym, wzmożenie oszczerczych kampanii, podejmowanie prób brutalnej ingerencji w ich sprawy wewnętrzne i stosowania wszelkiego rodzaju sankcji ekonomicznych.

Zwrócono także uwagę na bezpośrednie powiązanie między dążeniem imperializmu do dalszego wzmagania wysiłku zbrojeń a ofensywą monopolu przeciwojennemu interesom ludzi pracy w krajach kapitalistycznych i zwłaszcza ruchów postępowych, które walczą o przemianę społeczną.

Na naradzie wskazywano, że konieczne jest nasilenie działań, propagujących walory i osiągnięcia realnego socjalizmu, który w praktyce zagwarantował prawo do pracy i nauki, zapewnił demokratyczne uczestnictwo w sprawach państwowych i swobodny rozwój jednostki.

Imperialistyczna reakcja maskuje swoją ofensywę przeciw demokracji i prawom społecznym ludzi pracy demagogiczną kampanią o rzekomym naruszeniu praw człowieka w krajach socjalistycznych. Obojętne zdecydowanie dementowania tego rodzaju insynuacji, ważne jest ukazywanie na konkretnych przykładach jak bezceremonialnie deptane są prawa człowieka w świecie kapitalistycznym i jakie następstwa dla ludzi pracy pociągają za sobą bezrobocie, wysiłek, dyskryminacja na tle rasowym i narodowościowym, szerzenie się przestępczości, narkomanii i przemocy, roznamiętnianie między ludźmi. Delegacje bratniej partii stwierdziły, że decyzje narady gospodarczej krajów członkowskich RWPg na najwyższym szczeblu otwierają nowe perspektywy, sprzyjające przyspieszeniu

rozwojowi gospodarki narodowej każdego z tych krajów oraz całej wspólnoty socjalistycznej, umocnieniu potęgi i wzrostowi autorytetu światowego socjalizmu.

Rezultaty narady gospodarczej zademonstrowały z nową siłą, że tylko w warunkach socjalizmu możliwa jest prawdziwa równoprawna i korzystna współpraca, braterska pomoc wzajemna, że właśnie socjalizm w praktyce popiera słuszne prawa narodów krajów rozwijających się. Rezultaty te ostro kontrastują z polityką krajów kapitalistycznych, dla której charakterystyczne są metody nacisku i „sankcji”, próby narzucenia swojej linii innym państwom, odmowa udzielania krajom rozwijającym się prawdziwej pomocy w celu przezwyciężenia ich dramatycznej sytuacji gospodarczej.

Wiele uwagi poświęcono zbliżającej się 40. rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskim faszyzmem i militarystycznym japońskim. Praca ideologiczna związana z tymi historycznymi wydarzeniami będzie służyć sprawie kształtowania internacjonalizmu socjalistycznego i patriotyzmu, interesom walki przeciw groźbie wojny. Nowe pokolenia ludzi na całym świecie powinny znać prawdę o II wojnie światowej, o tym, że rozpalą ją faszyzm hitlerowski, najagresywniejsze siły imperializmu międzynarodowego, o decydującej roli Związku Radzieckiego, wkładzie ruchu komunistycznego i robotniczego, wszystkich sił antyfaszystowskich i patriotycznych w osiągnięcie zwycięstwa.

Składając hołd pamięci wszystkich ofiar, wszystkich bojowników przeciw faszyzmowi i militarystyzmowi, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie, nie można pozwolić fałszerzom historii na przemilczanie i wypaczenie nauk płynących z II wojny światowej. Główna z nich polega na tym, że walczący przeciw groźbie wojny należą zanim przemówi broń, tym bardziej broń nuklearna. Doświadczenia historyczne wymagają jedności działań wszystkich sił pokoju, demokracji, postępu i realizmu politycznego.

w którą winny angażować się dyrekcje zakładów pracy i organizacje społeczno-polityczne.

Karygodne jest zapomnienie i lekceważenie obowiązku konsultacji, najistotniejszych problemów związanych z życiem i działalnością zakładów pracy jak również nieuznanie się z opinia związków zawodowych.

Sekretariat KW PZPR zalecił wszystkim instancjom i organizacjom partyjnym stałą troskę i pracę na rzecz budowy autorytetu związków zawodowych.

O autorytecie związków zawodowych

Sekretariat KW PZPR w Tarnowie, któremu przewodniczył członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego, I sekretarz KW PZPR Stanisław Opałko zapoznał się z informacją o pracy Wojewódzkiej Komisji Współdziałania Związków Zawodowych oraz stanie rozwoju ruchu związkowego w województwie tarnowskim.

Uczestniczące w posiedzeniu Sekretariatu kierownictwo WKWZZ przedstawiło własną

opinję w sprawach nurtujących to środowisko jak również formy i metody działań w zakresie rozwoju ruchu związkowego w województwie.

Przyjęto również ramowe założenia współpracy KW PZPR z Wojewódzką Komisją Współdziałania Związków Zawodowych. Stanisław Opałko stwierdził w swojej wypowiedzi, że konieczna jest stała praca dla budowy autorytetu związków zawodowych.

Drukarzom w podzięcie za codzienny trud

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

tak 18 grudnia 1910 roku wydano pierwszy numer „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, którego wydawcą i właścicielem był Marian Dąbrowski. Od 1926 roku do końca 1982 roku drukarnia mieściła się przy ul. Wielopole 1, w budynku, który nazwano pod koniec lat dwudziestych „Pałacem Prasy”. Wtedy drukowano przy Wielopolu numery „IKC”, zaś od 1933 roku również i inne tytuły m. in. „Tempo Dnia”, „Światowid”, „Na szerokim świecie”, „Wró-

ble na Dachy”, „As”, „Raz dwa, trzy” itd. Posługiwano się przy tym techniką wkładkową. 31 sierpnia 1939 roku po raz ostatni przed wybuchem II wojny światowej przygotowano do druku numer „IKC”.

Od 1939 do 1945 roku „Pałac Prasy” nosił nazwę „Zeitungs-Verlag”. Krakau-Warschau G.M.B.H. Po wyzwoleniu Krakowa pierwszą gazetą wydrukowaną 25 stycznia 1945 roku — był „Dziennik Krakowski” o objętości 2 stron, zaś 4 lutego tegoż roku pierwszy nu-

mer „Dziennika Polskiego”, a 15 lutego 1949 roku pierwszy numer „Gazety Krakowskiej”.

Od 1951 roku drukarnia nosiła nazwę „Krakowska Drukarnia Prasowa”. W 1970 r. RSW „Prasa-Książka-Ruch” przejmie drukarnię i nadaje jej nową nazwę: Prasowe Zakłady Graficzne.

W związku z Dniem Drukarza i Święta Odrodzenia Polski, 14 lipca w Prasowych Zakładach Graficznych przy alei Pokoju 3 w Krakowie, odbędzie się uroczyste spotkanie z towarzyszami sztuki drukarskiej, na którym za służenia pracownicy drukarni otrzymają odznaczenia państwowe i resortowe. (ml)

Kraków ponad wszystko

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

pogotowia bojowego... I tak się zaczęła jego przygoda z PAP.

— Szybko pisal? — Ba, miał drugie miejsce w Polsce w owej szybkości. Podobne ambicje zaczął przejawiać w lutym 1945 r. niejak Ludwik Jerzy Kern, podejmując pracę w Łódzkiej Oddziale „Polpresu”, z którego po 2 latach zwabił go do „Przekroju” niejakimi Konstanty Ildelfons Gałczyński.

— Dzisiejszy Oddział Polskiej Agencji Prasowej w Krakowie zatrudnia trzech dziennikarzy. Czy jest to ilość proporcjonalna do ambicji naszego miasta?

— Do miasta zatrudniającego pięciu wiceprezydentów? Na pewno nie! Obowiązują nas natomiast podobna jak w całej Polsce dyscyplina pracy: każdy z nas wychodząc do czołki na imieniny musi zostawić w centrali numer telefonu, pod którym będzie się znajdował.

— To u Was agencyjna normalka?

— Ano, normalka, bytem już ścigający telefonizację z pogrzebu, śmiechu, wesela, a lo-

lejkę po mięso i z basenu kąpielowego.

— Zawsze jako dziennikarz anonimowy?

— Za to nam płaca. Zasadnicza rekompensata stanowi fakt, że jesteśmy największą gazetą w Polsce i pierwszy taka jest praktyka — dowiadujemy się o wszystkich wydarzeniach i plotkach. Ale — PAP, te trzy litery oznaczają jednocześnie ogromną odpowiedzialność za słowo. Słowo, którego zasięg jest zasięgiem ogólnopolskim. Nam mylić się nie wolno, chociaż...

— Chociaż...? — Jeśli się pomylił, to mamy gwarancję, że owo sprostowanie zamieści cała prasa na pierwszych stronach. — Kiedy anasowałem się do pracy w PAP mówiono mi, że wystarczy znać 600 słów — ze 120 tysięcy, którymi dysponuje język polski — aby umieć pisać dla ludzi. Jeśli okazało się to nie wina dziennikarza, lecz sytuacji geopolitycznej dziennikarza agencyjnego.

— Czy reprezentowana przez Pana agencja się myli?

— ...Staramy się czynić to rzadko, ale bywa. Powiem Panu na ucho, że każda re-

dakcja może nie zamieścić nawet najbardziej rewelacyjnej, a srogownie przez PAP informacji. Uczymy to jednak niewątpliwie i to na cołowym wytuszczonej miejscu, jeśli PAP da sprostowanie.

— Panie Leszku... Kraków i Polska zna Pana z programów telewizyjnych i radiowych, z lamów prasy centralnej. Skąd ta miłość do agencji, tak bardzo anonimowej i wypranej z możliwości socjologicznego operowania językiem polskim?

— To po prostu trzeba lubić. Trzeba doceniać ranę informację historycznej i tej sprzed wieków, i tej współczesnej...

— Krakowski Oddział PAP związany jest z „Gazetą” jak czeresnia z ogonkiem. Wspiera się nawzajem, informując o ważniejszych wydarzeniach w naszym regionie. Jakże tymczasem mógłby Pan saserwować jako przedstawiciel agencji rządowej czytelnikom naszej „Gazety”?

— Żeby w oficjalnych komunikatach każdy jej Czytelnik mógł znaleźć własny, indywidualny promyk słońca.

— Dziekuję za rozmowę. Rozmawiała:

IZABELA PIECZARA

SPORT • SPORT • SPORT • SPORT



Bez sukcesów

Wczorajszy dzień nie przyniósł reprezentantom naszego regionu — uczestnikom XI Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży — większych sukcesów. Na spartakiadowych arenach dominowała wczoraj gimnastyka sportowa i szermierka, które to dyscypliny nie są mocną stroną naszych reprezentantów.

Powody do zadowolenia mieli natomiast reprezentanci Opola którzy dotychczas nie osiągnęli większych sukcesów. Juniorzy tego województwa całkowicie zdominowali finały i zebrały ty-

le punktów, że wygrali łączną klasyfikację zarówno wojewódzkiego — jak i klubową. Dużą indywidualnością zawodów był 12-letni Grzegorz Treła, który zdobył dwa złote i jeden srebrny medal.

W szermierce jeszcze raz dali o sobie znać podopieczni Weroniki i Adama Medyńskich. Szpadę wygrał zdobywając 17-letni Robert Sznajder, który wyprzedził reprezentanta gospodarzy Leszka Drobnickiego. W tego województwa całkowicie zdominowali finały i zebrały ty-

Pamięci olimpijczyków...

Bieglem z Westerplatte do Warszawy o długości 350 km zakończył Piotr Salakowski cykl biegów poświęconych pamięci masowych biegów Tomasa Hopera. Od Powązek na Stacji X-lecia będzie biegła z młną jego córka Monika — powiedział Piotr Salakowski przed przelazem do Gdańska. Przypomnijmy, że Salakowski jest nauczycielem matematyki w Szkole Podstawowej nr 70 im. mjr Hubala. Warto podkreślić, że część trasy przebiega z nauczycielem z Tczewa Lechem Rochonem.

„1570 km, które przebiegnę w tych ośmiu biegach, dedykuję pamięci wielkiego propagatora masowych biegów Tomasa Hopera. Od Powązek na Stacji X-lecia będzie biegła z młną jego córka Monika — powiedział Piotr Salakowski przed przelazem do Gdańska. Przypomnijmy, że Salakowski jest nauczycielem matematyki w Szkole Podstawowej nr 70 im. mjr Hubala. Warto podkreślić, że część trasy przebiega z nauczycielem z Tczewa Lechem Rochonem.

Młynarczyk w Bastii

Jak informuje agencja AFP, w piątek bramkarz łódzkiego Widzewa i reprezentacji Polski, Józef Młynarczyk podpisał kontrakt z francuskim Sporting Etoile Club Bastia w barwach swego nowego klubu. Młynarczyk ma wystąpić po raz pierwszy już w sobotę, w towarzyskim meczu Bastia — Toulon.

W kilku wierszach

Od sensacji rozpoczął się w Hradec Kralove ćwierćfinałowy mecz tenisowy o Puchar Davisa: CSRS — Francja. W pierwszej grze Czechosłowak Ivan Lendl przegrał z Francuzem Henri Leconte 3:6, 6:3, 4:6.

W drugiej rundzie turnieju Grand Prix w Gstaad Wojciech Fibak wygrał z rosyjskim z Sandy Mayerem 6:2, 4:6, 6:2.

W finale międzynarodowego turnieju piłkarskiego w Villeneuve d'Ascq (Francja) warszawska Legia wygrała z I-ligowym zespołem francuskim Lens 2:1.

Po pierwszym dniu rozgrywanego w Brisbane ćwierćfinałowego meczu tenisowego o Puchar Davisa Australia — prowadzi z Włochami 2:0. Wyniki spotkań: Fitzgerald — Ocleppo 6:3, 6:1, 4:6, 6:1 i Cash — Panatta 6:3, 3:6, 6:3, 6:4.

Od 10 lipca nowym trenerem drużyny olimpijki Poznań jest Włodzisław Jakubowski — drugi trener Lecha, który wraz z W. Łazarkiem szkolili pierwszego zespołu mistrza Polski.

Pierwszymi półfinalistami tenisowego turnieju Grand Prix w Newport zostali Amerykanie Mayotte i Sadri. Mayotte, rozstawiony z nr 1 wygrał z Australijczykiem Dretwetterem 6:3, 7:6 a Sadri pokonał swego rodaka Annacone 7:5, 6:4.

Zakończyły się tegoroczne rozgrywki i ligi hokeja na trawie. Mistrzami Polski zostali hokeiści Lecha Poznań.

ogłoszenia EKSPRESOWE

WŁASNOŚCIOWE M-4, 48 m², w centrum Krakowa — zdecydowanie najniższa cena — 16227 zł. „Prasa” Kraków, Wiślna 2. g-16230

BLACHĘ cynkową na dach — sprzedam. Świdrynia, tel. 14. g-16354

NOVA pralka „Kuna-31” — sprzedam. Kopeć, Łódź 58. g-16094/Prac.

SILNIK, skrzynię biegów, tapczkę, szczyby do Lada 125 p — sprzedam. Oferty 16417 „Prasa” Kraków. Wiślna 4. g-16403

DNIA 6 lipca około godz. 22 w taksonie na Małym Rynku zostawiono szafkę z dokumentami na nazwisko Ryszard Tytek — uciekło. Znajdźcie proszę o zwrot za nagrodą. g-16403

20 m² FLIZOW ceglanych — sprzedam lub zamienię na pralkę automatyczną. Oferty 16398 „Prasa” Kraków, Wiślna 2. g-16393

FRYTOWNICE — telewizor Elektronika C-430 — sprzedam. Wilełozka, tel. 10-23. g-16237

ZGNAŁ pamiłkowy złoty kolczyk z diamentami — uczciwego znalazcę proszę o zwrot za nagrodą. Tel. 33-07-42. g-16430

KUPIE kasę pancerną typ KSB-4 o ciężarze do 500 kg i wagę do 100 kg. Znajdźcie proszę o zwrot za nagrodą. Tel. 44-82. g-16436

POLONEZA 3.000 cm³, rok prod. 1980 — sprzedam. Tel. 66-00-00 lub 66-00-50. g-16501

CZESTOCHOWA — M-3 spółdzielczy 3 pokoje, komfortowo — zamienię na podobne w Rabce lub Nowym Targu. Rabka, tel. 770-02. g-16602

NAZARKO Paweł, zam. Kraków, os. XX-lecia PRL 38/10, zgubił prawo jazdy, wydane przez Wydział Komunikacji Urzędu Miejskiego Kraków-Nowa Huta. g-16613

ZUWAŁA Józef, Nowa Huta, os. Zielone 26/16, zgubił prawo jazdy, wydane przez Wydział Komunikacji Urzędu Miejskiego Kraków-Nowa Huta. g-16613

OBRAZKI — sprzedam. Tel. 33-85-01, po godz. 17. g-16621

NYSE 522, 1980, stan idealny — tanio sprzedam. Kraków, Salswarska 35. g-16623

Projekt planu zagospodarowania przestrzennego Zespołu Wsi Sromowce Wyżne i Sromowce Niżne

Naczelnik Gminy Czorsztyn podaje do wiadomości wszystkim jednostkom administracji państwowej i gospodarki społecznej gminy Czorsztyn i województwa nowosądeckiego oraz mieszkańcom wymienionych wsi, że

do dnia 28. 07. 1984 r. w budynku Urzędu Gminy Czorsztyn, pokój nr 2, w godz. 8—11 wyłożony będzie do wglądu projekt planu zagospodarowania przestrzennego Zespołu Wsi Sromowce Wyżne i Sromowce Niżne. K-5517

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 12 lipca 1984 r. zmarł tragicznie w Krakowie nasz kręgle

Ryszard BURNUS

student IV roku Wydziału Maszyn Górniczych i Hutniczych AGH.

Odszedł, pozostawiając nasze grono w głębokim smutku. Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy głębokiego współczucia.

RADA OSIEDLA STUDENCKIEGO ORAZ KOLEŻY

15-lecie Szkoły Letniej

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

stniczoży łącznie 5481 osób z 35 krajów świata. W roku bieżącym dla 900 zagranicznych gości przygotowano 22 programy. Przewidują one przede wszystkim zajęcia w zakresie kultury i języka polskiego, a także kursy historii Polski, sztuki polskiej, zagadnień społeczno-ekonomicznych, ochrony środowiska itp. Warto dodać, że dyplomy ukończenia Szkoły Letniej są za granicą powszechnie akceptowane, a odbyte kursy zalicza się jej uczestnikom do toku studiów.

Wczoraj, w auli Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego po raz pierwszy odbyła się inauguracja Szkoły Letniej Kultury i Języka Polskiego. Przybyłych na uroczystość powitał rektor UJ prof. dr hab. Józef Gierowski. Prof. Gierowski przypomniał pokrótce historię kursów wakacyjnych organizowanych

przez uniwersytet Mikołaja Kopernika i Karola Wojtyły. Z kolei głos zabrał wiceprezident Rady Państwa, prezes Towarzystwa „Polonia” Tadeusz Witold Mityczak, który zwrócił uwagę na fakt, że absolutnie kilku już istniejących w Polsce szkół letnich stają się promotorami naszej kultury za granicą. W imieniu Fundacji Kościuszkowskiej Stanley Radosz przekazał organizatorom Szkoły gratulacje i wyraził chęć dalszej współpracy w celu rozpowszechniania kultury polskiej.

Zakończyła Szkoła zainaugurował wykład prof. dr hab. Jerzego Strzelcowskiego. Jednocześnie z okazji jubileuszu otwarta została sesja pt. „Rola i znaczenie Szkół Letnich Kultury i Języka Polskiego”. Obchody 15-lecia Szkoły Letniej i jej potęgą do niedzieli, w ich ramach przewidziano liczne imprezy kulturalne.

(el-po)



Wyjść za miasto!

Namawiam do wypoczynku poza Krakowem, choć wczoraj było w kraju trochę chłodniej niż w czwartek (o godz. 14 w Krakowie zanotowano „tylko” 26 stopni w cieniu), to i tak lato w mieście jest nie do zniesienia. Co prawda prognoza na dzisiaj nie jest już tak „gorąca” jak poprzednio, ale zapowiada pogodę winna zagwarantować udany wypoczynek.

Jak podyja Biuro Prognoz, dzisiaj i jutro będzie w Krakowie zachmurzenie umiarkowane, przejściowo duże. Miejscami należy się spodziewać przelotnych opadów. Temp.

CHORĄGWE spod GRUNWALDU

W bitwie pod Grunwaldem, której to rocznicę dziś właśnie święcimy, wojska Jagielly zdobyły ponad pięćdziesiąt chorągwi krzyżackich. Był to wielki łup, bowiem proporce te stały się wspaniałym symbolem zwycięstwa. O ten znak, noszony w bitwie na czele oddziału, toczyła się zawsze zacięta walka, wokół skupiali się najbardziej bitni rycerze. Utrata kolorowej tkaniny była traktowana jako wielki despekt, chorągwy wołał utracić życie niż wypuścić drzewce z rąk. Jedną zdobyczną na Krzyżakach chorągiew wysłano bezpośrednio po bitwie do Krakowa, pozostałe też trafiły na Wawel, ale nieco później.

Bardzo dokładne informacje o wziętych trofeach pozostawił JAN DŁUGOSZ w jednym z pierwszych swoich dzieł „Banderia Prutenorum”. Opisał w tej księdze wszystkie (51) proporce zdobyte przez wojska polskie pod Grunwaldem, jedną chorągiew wywalczoną pod Koronowem i 4 standardy spod Naki. STANISŁAW DURIUK wymawiał je wszystkie i mimo iż te symbole zwycięstwa nie dotwały do naszych czasów, wiemy dokładnie jak wyglądały. W roku 1958 „Banderia Prutenorum” czyli „Chorągwie pruskie” w polskiej i łacińskiej wersji wydał KAROL GÓRSKI.

Chorągwie przez pewien czas pozostawały w kaplicy polowej Jagielly. Dopiero w ponad rok po Grunwaldzie, bo 25 listopada 1411 roku, kiedy Jagiello uroczystie odwiedził kościół na Skale i potem katedrę na Wawelu, umieszczono je w kaplicy św. Stanisława. Proporce wnoszone w okazałej procesji, o honor ich wniesienia ubiegali się wielcy polscy panowie, rycerze i prałaci.

ZBIGNIEW SATAŁA

Długosz zaczął swe dzieło od słów „Podniesione chorągwie roku Pańskiego 1410 w święto Rozesłania Apostołów przeciw królowi polskiemu Władysławowi Jagielle i przez króla obalone i przywiezione do Krakowa oraz zawieszzone w kościele katedralnym, które zostały odmalowane w ten sposób jak niżej”.

I teraz następuje opis wszystkich 56 chorągwi. Na jednej karcie opis i rysunek. I tak kolejno. Długosz zaczął od proporce wielkiego mistrza.

„Chorągiew mistrza krzyżackiego większa, którą prowadził wielki mistrz Uryk von Jungingen; był w niej jego znakomitsi dworzanie i rycerze. Jego zaś szatę zwierzchnią, w której został zabity, ze znakomitego białego sukna z Arras, z utkanym tym znakiem posiadła kościół parafialny w Kijach jako orgat”.

Pod tą informacją była uwaga „Chorągiew ta ma długość 9 łokcie a szerokość dwa i ćwierć łokcia”.

Pod pozycją drugą pisarz umieścił chorągiew mistrza krzyżackiego mniejszą, pod trzecią zaś chorągiew zakonników krzyżackich. Prowadził ją w bitwie wielki marszałek Prus Fryderyk Wallenrod z rodu z Frankonii. Służyli w tym oddziale rycerze pochodzący z rodzinnego kraju wodza. Wallenrod zginął pod Grunwaldem i został pogrzebany w Malborku.

Kolejny proporzec, to chorągiew Konrada Białego, księcia oleśnickiego ze Śląska. Piszze Długosz „Sam książę Konrad został pojmany i pozabawiony zarówno chorągwi jak i całej fortuny ale wypuszczony został na wolność z łaskawości Władysława króla polskiego. Trzeba powiedzieć, że ze wszystkich ksiąg śląskich czy polskich nikt prócz Konrada Oleś-

nickiego i Kazimierza, księcia szczecińskiego nie przeszedł na stronę mistrza i zakonu krzyżackiego z wieńczącą ich habą i wstydem, iż własną mową i własną oczywistą, wspierając wrogów chcieli rozszarpać i zniszczyć”.

Historycy powiadają, że Konrad przebywał przed Grunwaldem pewien czas na dworze żony Jagielly Anny Cylejskiej, skąd poszedł na naukę rzemiosła wojennego do Krzyżaków. Na służbie w Zakonie zastał go początek wojny i jak utrzymywał — honor nie pozwolił mu opuścić swych mistrzów, nawet pomimo sprzeciwu ojca. Konrad został wzięty do niewoli przez rycerza czeskiego Jostę z Salcu.

Kolejne chorągwie to: proporzec św. Jerzego oraz znak miasta Chełma. Te ostatnią niósł niejaki Mikołaj rodem ze Szwabii. Tegoż chorągiewa następcą Ulryka von Jungingen, wielki mistrz Henryk von Plauen kazał ściąć jakoby winnego zdrady.

Pod ósmym numerem figuruje chorągiew biskupa pomerańskiego, którą prowadził Markward von Resemburg. Proporzec ten „Władysław nazajutrz po bitwie przez Mikołaja Morawca z Kunosówki pod Krzyżem, rycerza herbu Powola, postawił żonę swoją Annę oraz Mikołajowi Kurowskiemu arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, wikariuszowi królestwa oraz innym baronom polskim, mistrzom, doktorom, rajcom, którym zlecono była straż nad zamkiem i miastem Krakowem oraz całości królestwu polskiemu i jego zamkom i miastom na znak zwycięstwa swego i błęski Krzyżaków”.

Długosz sporo miejsca poświęcił konturowi Tucholi Henrykowi prowadzącemu chorągiew tegoż miasta i komturstwa. Ten wysoki dygnitarz zakonny „od początku tej wojny aż do jej zakończenia był nadętym tak pysznym zachwalstwem, iż kazał nosić wszędzie dokąd się udawał dwa nagie miecze przed sobą i swym wojskiem tucholskim jak gdyby już był zwycięzcą, i wspaniałym oraz mężnym triumfotorem a cały

(CIAĞ DAŁSZY NA STR. 4)

— Witamy, witamy, wejdźcie dalej — zaprasza nas w głąb sali młody, czarnowłosy mężczyzna w kraciastej piżamie, przerywając grę w karty z pacjentem leżącym na sąsiednim łóżku. — Siostry do nas, na praktykę? — mierzy nasze sylwetki okiem znawcy i zatrzymuje wzrok na zgrabnych nogach Danusi. Dziewczyna spogląda na niego, świadoma swej urody i... blednie, a jej uśmiech zamienia się w gryms odrzuty, czy współczucia. Bo on, zamiast nogi ma dwa kikuty. Leży równo, wysunięty spod kołdry, która jest przykryta, ułożone na płatach ligniny. Opatrunek nieco przemaka krwią. Mężczyzna, dostrzegając jej zmieszanie, nadal się uśmiecha, ale teraz kpiący i nieco bezczelnie, jakby jej płatał niestosowego figla.

— Prosimy dalej — powtarza niezrażony naszym milczeniem.

Nie mogę wejść do tej sali. Boję się, sama nie umiem odpowiedzieć czegoś. Wzrok przykuwają obrzydliwy jakby ze złych snów. Widzę odwróconego przynajmniej mężczyznę z zabandażowaną głową i zapuchniętą, siłą twarzą. Ledwie widoczny zarzys nosa, spary zamiast oczu i strużkę krwawej śliny płynącą z ust. Nogę i rękę nieszczejnie zawieszono na wyciągu, jego klatkę piersiową przykryto opatrunkiem. Krwawa kukła. Jeczy? Może mi się zdaje.

— Wpadł pod tramwaj po pijaku — informuje bezgłośnie mężczyzna, który witał nas tak wylewnie.

Za nim leży nieco starszy pacjent także z kikutem zamiast nogi, a drugą, złamaną zawieszono mu na wyciągu. Jego ciało podtrzymują pasy, zawiesz na nich nieco ponad łóżkiem, jak na hamaku.

— Ja też spod tramwaju — przedstawia się z wściekłym uśmiechem widząc, że patrzymy w jego stronę. Chce utrymać swobodną atmosferę beztroski tak kontrastująca z obrazem sali.

— Wykończyłbym się na miejscu z upływu krwi, ale lekarz wszedł pod tramwaj, nim go podnieśli dźwigiem i podciążył mi kroplówkę.

Ktoś jęczy w środku sali. To starszy mężczyzna z wygoloną dziwnie głową i krwawymi otworami z boku czaszki, w których tkwią kłamry. Podeszłam do jego łóżka, zapominając o lęku i patrząc na jego bezruch, na głowę ujętą w kłamry, patrząc, choć czuję suchość w ustach i skurcz żołądka. Spoglądam, że na kłamrach zawieszono w dole odważniki. A więc tak wygląda wyciąg czaszkowy stosowany przy złamaniu kręgosłupa. Boję się dotknąć unieruchomionego. Czego się boję? Nie wiem. Jego cierpienia? Boję się poruszyć strzykawką automatycznej dozującej lek, kroplówkę, wyciągu, tych wszystkich urządzeń, które otaczają ciało chorego, utrzymując go przy życiu i cierpieniu.

— Siostró, pić — szepcze.

On mówi, żyje. Nie wiem, dlaczego zaskakuje mnie ten fakt. Zwiłam mu usta szpatułką owinętą gazą, zamoczoną w plastikowym garnuszku ze śmieśnym dziubkiem, zszarzałym od herbaty.

— Dziękuję — powiedział cicho. — Siostró, czy ja będę żył? — pyta. Nie może zwrócić głowy w moją stronę, nie widzi mojej twarzy, więc nie wie, że jestem tu pierwszy raz.

— Oczywiście, nie z takich oparów ludzie wychodzą — mówię to, co chciałby usłyszeć, spóźniając się, że te nieszczerze słowa pocieszenia przyniosą mu złudzenie. Zresztą cóż mu mam powiedzieć? — Trzeba pocieszyć — dodaje i zastanawiam się, komu potrzebne jest to jego cierpienie.

— Dzień dobry panom. Jak się dzisiaj czujecie? — pyta instruktorka wchodząc do sali. Prezentuje nam przy tym wzorowy uśmiech obowiązujący pielęgniarkę w obecności z chorymi, dla podniesienia ich nastroju. Teraz jednak drażni mnie jej uśmiech. Oni odpowiadają jej uśmiechem i jakby na chwilę zapomnieli o bólu.

— Siostró, siostró, pcha — woła najmłodszy pacjent, o nieustalonym jeszcze przebiegu choroby. — Wszyscy, prócz jęczącego, ze złamanym kręgosłupem i nieprzytomnego, zaśmiewają się na dźwięk tych słów.

Instruktorka patrzy na nich bez zrozumienia. — Przecież siostró nie zna tego dowcipu — protestuje smutkiem mężczyzna mający nogi w gipsie. — Pacjent woła: pcha — odpowiada jej, bez wstępu. — Co, pcha się pan boi? — pyta siostra. — Nie, ale to bydlę z łóżka mnie spycha.

Znów się śmieją, nienaturalnie, zbyt hałaśliwie. — Albo o pajaku — rehabilituje się najmłodszy. — Siostró, gdzie to byłoby mnie wleźć — zawodzi słabym głosem.

Instruktorka śmieje się razem z nimi, więc widocznie tu można się śmiać. Pochodzą do mężczyzny ze złamanym kręgosłupem, zwiła mu usta i poprawia poduszke.

— Biercie się dziewczyny do roboty. Przecież łóżka, uprzątnijcie stoliki, bo zaraz po śniadaniu będą opatrunki — zachęca. A pani — wskazuje na mnie — przyniesie czopek panu Michałskiemu — tu spogląda, na rudego mężczyznę leżącego w kącie sali.

Idąc do dyżurki po czopek widzę przez uchylone drzwi sąsiednich sal chorych leżących na rozłożonych na podłodze materacach. Oto jak po ostrym dyżurze wygląda traumatologia, czyli oddział urazowy. W dyżurce energiczna oddziałowa usiadywała lekarzowi, że nie ma gdzie przyjąć następnego pacjenta. Czekam aż wyjdzie lekarz i pytam ją jakie szanse ma pacjent ze złamanym kręgosłupem.

— Zadnych — odpowiada z przekonaniem. — Pomoczyć siebie i nas przez kilka dni, potem przyjdzie paraliż miedzykręgowych, zatrzyma oddech. Jest jeden szpital w kraju, gdzie takie przypadki próbują leczyć chirurgicznie, ale tam nie ma dostanie, nie ma miejsc. Zresztą trzeba było przewieźć go od razu, samolotem.

Oddziałowa wraca do swych spraw, otwiera książkę zlecen, a ja szybko wlewam do kieliszka nieco nasercowego leku, rozcieńczam go wodą z kranu i wypijam jednym haustem. Nie zauważyła.

— Mam wziąć czopek dla Michałskiego — mówię głośno, zaglądając do lodówki, gdzie leżą tego typu leki.

— Jeszcze go nie ruszyło? Przecież dostał już dwa — mruczy zajęta swoimi sprawami.

— I tabletkę przeciwbólową dla tego pod oknem — dodaje przypominając sobie, że prosił mnie o nią.

— Nie przesadzajcie z tymi tabletkami, bo wiesz, że przeciwbólowych brakuje — przypomina.

Biorę czopek, tabletkę i wracam do sali. Dziewczyna ścieła kółka, mocując się z wyciągami, jedna przeciera stoliki. Daje czopek zachmurzonemu mężczyźnie, wykrzywia z obrzydzeniem twarz.

— Sam pan weźmie? — pytam, widząc, że chorzy, którzy są w stanie złożyć sobie czopek wolą nie korzystać z pomocy pielęgniarzek.

— Tak, weźmę — kiwnął głową z rezygnacją.

Miałam odejść, by go nie pszyć, lecz jeszcze

nie przeżyje — mówiła do nas cicho instruktorka. — Ona ma przecież 92 lata.

Lekarz narzucił świeże platy gazy na zabiłające się rany brzucha, pielęgniarka przewija je bandażem, pozwalając nam skończyć opatrunki.

— Bóg ci zapłać tobie lekarzu i tobie siostrze — błogosławi ich staruszka, szczęśliwa, że dziełszy opatrunki ma za sobą.

— Panie lekarzu, a czy jutro też będzie opatrunki? — pyta przymilnie zupełnie innym tonem, czekając aż zaprzeczy.

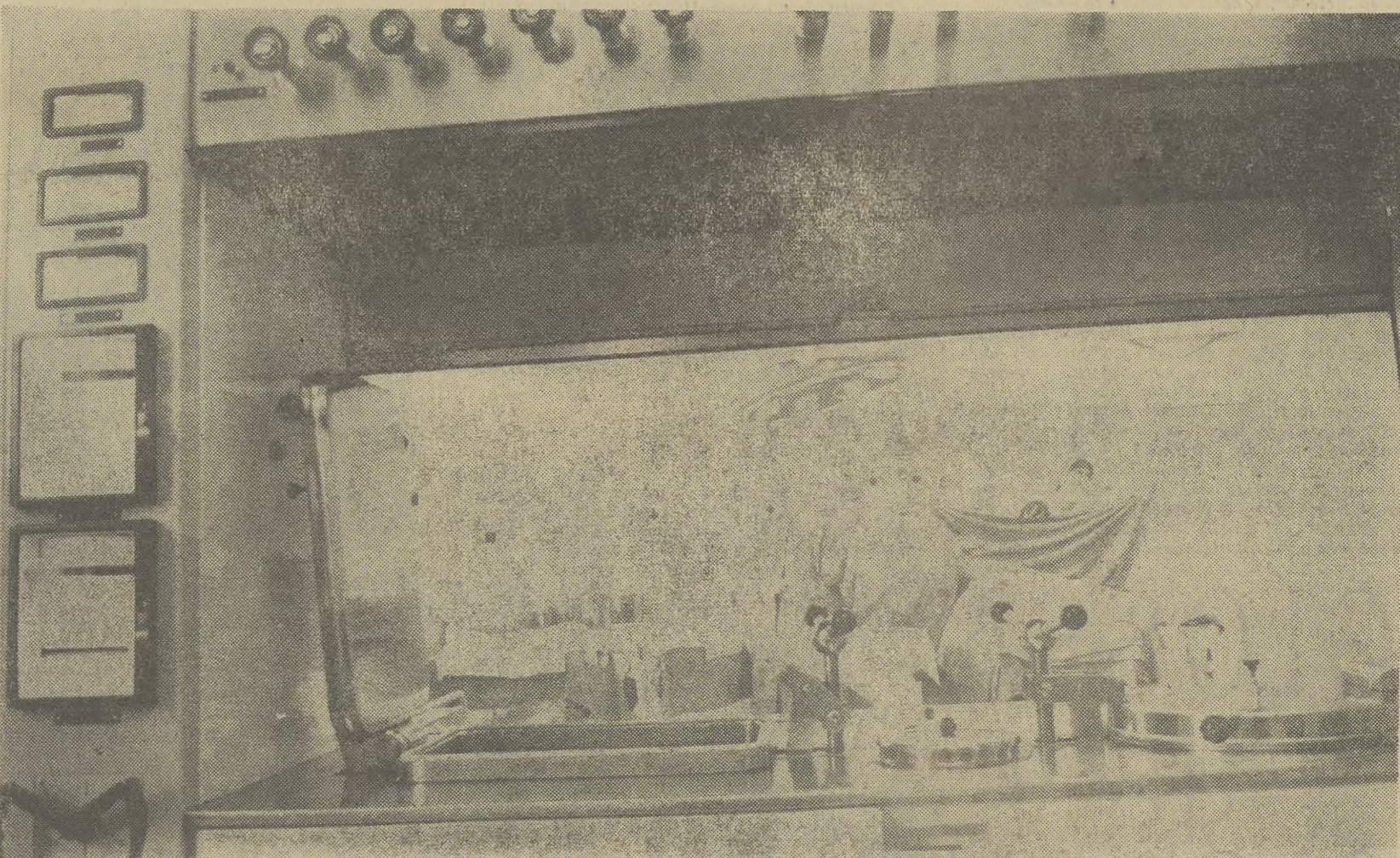
— Tak, będzie — odrzekł doktor.

— O Boże, bodaj bym się była nie pytała.

Wózek zatrzymuje się przy pani Glieni, którą przywieziono tu przed pięcioma miesiącami, po wypadku samochodowym, nieprzytomną i cuchnącą alkoholem. Długo walczyła ze śmiercią. Dzisiaj leży w koronkowej koszuli, pięknie

KRYSTYNA ROŻNOWSKA

ŻYĆ KAŻDEGO DNIA



raz spojrziałam na niego. Grył czopek mocnymi zębami oblepionymi masłem kakaowym, z którego był zrobiony. Patrzącym zaszkodziła i poczułam dziwny ucisk w żołądku. Skurcz śmiechu chwycił mnie za krtani i rozpychał się w piersi aż do bólu. Wybiegłam do dyżurki, tam śmiałam się długo, męcząc, wycierając łzy, a instruktorka, albo też oddziałowa, podała mi jakiś gorzki lek.

— Zaraz się pani uspokoi — powiedziała ktośś z nich. I przyszedł opanowany spokój, dopiero wtedy opowiedziałam jak pan Michałski zjadł czopek, nie śmiejąc się przy tym wcale. Bolała mnie głowa.

Wysłałam na oddział opatrunkowego wózka toczącego się po posadzce.

— Jesu! Panie lekarzu, oszczędźcie mi tego — zawodziła staruszka, gdy wtaczaliśmy wózek do sali. — Przecież pan by mógł być moim synem. A czegoż się tak nade mną zniecacie.

Lekarz uśmiechał się do mnie łagodnie.

— Musimy pani zmienić ten opatrunki, bo by się nie goiło — mówił, sięgając po narzędzia zanurzone w dezynfekujący płyn.

— Cicho, babciu, cicho, my tu krzywdy nie zrobimy — uspokajała ją pielęgniarka odkrywając koldrę. Przecinała bandaże, który krepował starce ciało kobiety od obwisłych piersi, aż po uda.

— Panie lekarzu, mój kochany, dalibyście mi dzisiaj spokój? — mówiła błagalnie patrząc w jego oczy.

— Musimy, to dla pani dobra — rzekł stanowczo i ujął narzędziem róg opatrunku.

Pielęgniarka lala żółty płyn na brzuch staruszki, by opatrunki łatwiej oddzielić się od skóry. Moknąć, w oczach zmieniała barwę, lecz lekarz odcinął go z trudem. Staruszka krzyczała z bólu, wzywała wszystkich świętych. Chorzy odwracali głowy, ale w ich oczach nie było współczucia. Taki ból znosi się tu w milczeniu.

— A żeby was... — zaklęła szpetnie chora. Zachichotała.

— Przecież aż tak bardzo nie boli, babciu krzyczyć trochę na wyrzut — karcila ją pielęgniarka. — My robimy co możemy, a pani nas przeklina — dodała z wyrzutem, bardziej oficjalnym tonem.

— Ściągnęła na siebie węgle z rusztem, porzuciła cały brzuch, uda. Myślałam, że tego

szona jaskrawym makijażem i czyta kryminał. Mały opatrunki na zabiłające się rany brzucha przykrywa jak codzienny rytuał.

Głośno, z parą, wjeżdżamy do dużej, męskiej sali. Czarnowłosy, towarzyszy pacjent bez nóg, znów, tak jak rano, wita nas z zadowoleniem, lecz na widok narzędzi sterujących na wózek tężeje mu twarz. Od niego zaczynamy opatrunki.

— Odwinać — mówi lekarz.

Myję w ręce kikut jego nogi i czuję mdły smak w ustach. Danusia przycina bandaże. Kikut staje się coraz cięższy, i słabną mi ręce.

— Trzymaj! — rozkazuje Danusia, widząc, że tracę siły i pewność siebie.

Czuję na sobie spojrzenie mężczyzny, do którego należy ta okaleczona noga i drugiego, rudego, co niedawno zjadł czopek. Trzymam mocno, a Danusia przycina warstwy bandaży, odsłaniając udo, aż do miejsca, gdzie zamienia się w krwisto-siną balon. Polewa je Rivanolem, by łatwiej było zdjąć opatrunki. Mężczyzna szczy i zakrywa głómi twarz. Zdejmujemy ostatni płat gazy odwracam oczy, ale wiem, że lekarz dezynfekuje to miejsce, na które nie mogłam popatrzeć i narzuca nowy opatrunki. Mobilizuję się, by przywinąć go bandażem, a kiedy kończę czuję ogromne zmęczenie.

— Dobrze jest, w porządku — wraca do swego stylu bycia właściciel kikutów i znów się uśmiecha, jakby chciał mnie pocieszyć. — Dzisiaj przyjeżdża do mnie z Gdańska narzeczoną. Bo ja mieszkam w Gdańsku, a tu przyjechałam na delegację i tak się, widzi pani, złożyło, że zostałam tu.

— Zderzyłam się z tramwajem — żartuje. — Po zdjęciu — dodaje prawie szeptem.

— Może siostrę poda mi „kaczke” — prosi z miną winowajcy jego sąsiad, ze stopą zniszczoną przez chorobę Błrgera.

Wózek stoi już przy najmłodszym pacjencie, a Ela, zdejmując opatrunki, odsłania oparzoną nogę chłopca. Na jego brzuchu jest śmieszny fald w kształcie kielbaski, skąd, w czasie kolejnego zabiegu znów wytną płat skóry, by przeszczepić ją w miejsce oparzeń. Lekarz z napięciem wycina martwą tkankę na pozab-

— Pójdzie pani przygotować kroplówkę dla nowego pacjenta — poleca instruktorka.

Idę z nią do dyżurki. Speszona jej czujnym wzrokiem niezdarnie odlewam z plastikowego pojemnika część soli fizjologicznej, a w jej miejsce wstrzykuję lek, według zlecenia. Obok lekarz rozmawia z oddziałową.

— Pobili go pod hotelem, szukali dolarów — mówi lekarz.

— A co on tam robił o trzeciej w nocy? Jak przyjechał aż z Chicago do rodziny, to mógł siedzieć u krewnych — odrzekła oddziałowa.

— I dlaczego dopiero teraz znalazł się u nas? — Domyślam się, że rozmawiają o nowym pacjencie leżącym na korytarzu.

Właśnie skończyłam przygotowywanie kroplówki, gdy przybiegła do mnie strapiiona koleżanka.

— Chodź, Krystyno, na chwilęczkę, hegar mi nie „idzie” — szepela mi do ucha.

Poszłam z nią do ubikacji. Smród bijący od niesplukanych muszli i koszy pełnych brudnej bielizny wykręcał nos. W drugim pomieszczeniu, koło wanny, stoi młody, silnie zbudowany mężczyzna oparty o ścianę, ubrany tylko w górną część piżamy. Ziutka, chcąc mi zdemontować swoje dotychczasowe usiłowania, wkłada mu do odbytnicy końcówkę hegara. Mężczyzna syknął, napiął mięśnie i niżej schylił głowę ruchem strachu.

— O, widzisz, nie idzie — powiedziała koleżanka, zerkając do uniesionego w górę naczynia. — Próbuje już chyba ósmy raz.

Wyjechała końcówka. Mężczyzna odwrócił się purpurowo ze wstydu i upokorzenia, chcąc wiedzieć co postanowimy. Uniósł naszego wzroku.

Było mi go żal, ale równocześnie rozbawiała mnie ta scena.

— Aby tylko poważnie potraktować sprawę — myślałam, tamując w piersi śmiech.

— Proszę się ubrać i wrócić na dziesięć minut do łóżka, my przygotujemy wszystko jeszcze raz — powiedziała mi do niego prawie surowo, chcąc ukryć współczucie i chęć do śmiechu.

— Dlaczego nie położyłaś go na łóżku i nie nakryłaś, tak jak cię w szkole uczyli? — spytałam, gdy pacjent zamknął już za sobą drzwi.

— Pielęgniarka mówiła, że można zrobić hegar na stojąco — tłumaczyła się nieco apeszo-

— Uczyli cię, jak to się robi?

— Ale pielęgniarka mówiła...

— Woda za zimna.

— Była ciepła, ale przecież męczę się z nim już od dawna.

— Gdzie masz wazelinę.

— Pielęgniarka mówiła, że nie trzeba.

Wniosłyśmy kozetkę, zmieniamy wodę w naczyniu do hegara, poszukalam wazeliny, a gdy ona wyszła po pacjenta, wróciłam do sali, pewna, że tym razem ten prosty zabieg się uda.

Wracam do „swojej” sali, wprost do mężczyzny ze złamanym kręgosłupem. Leży cały czas nieruchomo, a na poduszce wokół nawierconych w czasie otworów, coraz większe plamy krwi. Zmoczyłam mu usta.

— To pani — uczęszczy się poznając mnie. — O Jezu, co ja sobie narobiłam! — mówi cicho, ze świeżym przestrachem, jakby dopiero teraz zrozumiał rozmiar swego nieszcześcia. — To się stało, gdy jechałam na motorku. Jechałam na budowę, z przyczepą i wpadłam do rowu. Syn długo nie wracał z pracy, więc wsiadłem sam — z wysiłkiem wymawia każde słowo. — Mam dwóch synów i trzy córki. Budowałem im dom. Córka studuje.

Wskazał ręką garnuszek. Znów zmoczyłam mu usta i poszłam zmienić w kubku wodę. — Czy siostra nie sądzi, że w szpitalu powinien być kameralny pokój, żeby pacjent czasem mógł w nim przyjąć żonę, albo damę swego serca? — pyta lęsiący mężczyzna o nalanej twarzy, jadący korytarzem na inwalidzkim wózku. Uniósł wyżej stopę pozbawioną palców, mizerną, jakby nie należąca do jego rosłej postaci. Wiem, że czeka na jej amputację. — Co siostra o tym myśli? O tym co powiedziałam — wpatruje się we mnie natrętnie z dwuznacznym uśmiechem. — Jest to praktykowane w wielu szpitalach na Zachodzie.

Mijam go bez słowa, nie znajduję w sobie siły, by teraz znaleźć właściwą odpowiedź na jego pytanie. Wracam do chorego, który czeka na wodę. Znów zwiłam mu usta. Dziękuję.

Córka studuje architekturę — powtarza, jakby to teraz było najważniejsze. — Wszystkie dzieci dobrze się urządziły. Chciałem zbudować im dom...

Milczy chwilę. Odpoczywa, czy się nad czymś zastanawia.

— ... Czy ja jeszcze skończę budowę tego domu? — pyta.

— Myślę, że tak — staram się, by moje słowa brzmiały prawdziwie, ale ciągle pamiętam o tym, co mówiła na ten temat oddziałowa.

— Może jest dla mnie jakiś lek?

— Dostaje pan dobre leki — zapewniam.

— Gdy stąd wyjdę, to się pani odwiedzę — mówi cicho lecz stanowczo. — Odwiedzę się pani za to wszystko.

Za co? — myślę, zdumiona jego szczerym uczuciem, wdzięcznością. Przecież w niczym nie mogę mu pomóc. Nawet nie umiem naleźć poprawić mu pościeli, by leżał wygodnie, bo boję się, że potrącę strzykawkę automatyczną dozującą lek, kroplówkę, czy wyciąg brutalnie umocowany w czasie. Potrafię tylko zmoczyć mu usta i wysłuchać zwierzenia o tym niespodziewanym nieszcześciu, którego nie ma tu nawet komu przekazać. Cóż mogą znaczyć dla niego moje słowa pocieszenia? Jaką wartość może mieć moja obecność przy jego łóżku, że przyrzeka mi wdzięczność? I co ze mnie za pielęgniarka, o ile mniej potrafię zrobić dla chorego niż inne, pracujące tu kilka lat. A jednak mnie okazał swoją wdzięczność.

— Przecież tamto łóżko — młoda pielęgniarka ostro wyraża polecenie, przerywając moją rozmowę z chorym. — Z dziażdłem nie musisz tyle sądzić. Pani nie jest wcale do pana dyspozycyjna — krzyczy, stając nad jego łóżkiem.

— Pani tu pracuje — poucza go ostro.

Chory milczy. Nie może nawet odwrócić głowy, by spojrzeć jej w oczy. Zresztą on nie ma już prawa do słowa obrony, ani nawet do złych spojrzeń, bo wypadek, w jednej chwili, zepchnął go do rzędu pacjentów — istot uzależnionych od ludzi zdrowych. Tu rządzą ta dziewczyna, młoda, silna, od niej zależy, czy w porę dostanie basen, wodę do zwilżenia ust. Ona może pozwolić mi z nim porozmawiać, lub nie. Tu, w szpitalu, gdzie wszyscy cierpią, cierpienie nie nobilituje i nie daje dodatkowych uprawnień. Chory wyczuwa to siódmym zmysłem. Milczy.

Zmarł za dwa dni, w czasie mojego dyżuru. Już rano, kiedy przyszedłam, leżał półprzytomny z zamkniętymi oczami i ziemiastą twarzą. Głowę zabandażowano mu starannie, ale tam, gdzie tkwiły kłamry w czasie znów były plamy krwi. Nadal otaczali go aparaty, coraz mniej użyteczne, gdyż nie mogły już obronić go przed śmiercią. Pompa infuzyjna, aspirator, butla z tlenem. Co jakiś czas do kroplówki wstrzykiwano leki, wtedy cisnienie podnosiło się nieco, chory ruszał głową, a na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Lekarze przystawali przy jego łóżku i odchodzili bez słowa.

Był ciepły dzień, jesienne słońce wypiekało swym blaskiem zniszczoną ścianę sąsiedniego domu i wieżę kościoła. Za paznokciami unierażającego tkwiły jeszcze ziarenka piasku i okruchy cegły przeznaczone na niezbudowany do końca dom.

Wychodząc ze szpitala minęłam w korytarzu młodą, szczupłą dziewczynę. Słyszałam, jak wyjaśniała portierowi, że musi zobaczyć ciężko chorego ojca. Podała nazwisko, której widziałam na karcie zmarłego. Nie miałam odwagi powiedzieć jej o tym, że przyszła a późno. Przypomniałam kroku.

Idąc ulicą, wśród spieszących się ludzi, przypomniałam sobie jego słowa. „Jak stać wyjdę — mówił — to się pani odwiedzę”. Odszedł i pozostawił mi swoją wdzięczność. Czas ją zmienić w ciepłe wspomnienie, jedno z tych, które zaprzeczają bezsensowi życia.

CHORĄGWIE spod GRUNWALDU

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

los wojny od niego zależał. Oświadczył, że nie przedsięwzięcia miały do pochwycenia, a że oba ubrocy w krwi polskiej... Gdy haniebnie z bitwy uciekając przybył do wsi Wielniów przez ścigających go rycerzy polskich dopędzony a nędznie ścisty, poniósł śmiertelną lecz zasłużoną karę za suchwalstwo i pychę.

Jan Długosz mógł sławić odwagę i przewagę swego rodu, gdy w wiktoria grunwaldzkiej miał swój udział jego ojciec. Przy okazji opisu chorągwi miasta Brandenburga prowadzonej przez komtura Markwarda von Szalzbacha kronikarz opowiada: „Markward został schwytany w wielkiej bitwie przez Jana Długosza, rycerza z domu Zubrzygowa albo Perstina, czyli Wieniawa, ojca i rodzica mego rodzona, wraz z kilkoma rycerzami zakonnymi i chorągwią wspomnianą. Aleksander Witold, wielki książę litewski, gdy mu przez ojca mego na rozkaz Władysława króla polskiego (Markward) został przedstawiony wielce się uradował jego widokiem — wielce bowiem pragnął go ukarać śmiercią za to, że matkę jego na pewnym zjeździe wspólnym nazwał ładaczną i nieczystą matroną”. Witold skazał więc komtura na karę śmierci a Litwini i Rusini chyżo wyrok ten wykonali. Pisarz wspomina, że ten postępek Witolda zasmucił Jagiełłę, który doś

ostro wyraził swe niezadowolenie twierdząc, że czyn ten hańbi zwycięzcę.

Chorągiew opisaną w księdze pod numerem 42 prowadził osobliwie drugi zdrajca Plastowicz książe Kazimierz. W „Banderiach” otrzymał on srogie cieżki od Długosza w słowach: „nie bez największej hańby i niestawu swej i imienia swego oraz szczepu i narodu swego i mowy, opowanymi przekleństwami żądzą złota, wypaliwszy na sobie, rodzic swym i potomstwu wiecześnie piętno hańby. We własne wnętrześci wbił miecz, na ojczyznę własną i królestwo polskie, z którego on sam i przodkowie jego i byt i życie, wraz z całym ludem swym, zdolnym do noszenia broni, powstał zbrojny”. Kazimierz został pojmany przez Skarbka z Gór, znośił przez pewien czas więzienie, potem został uwolniony.

Niestety zwycięstwo pod Grunwaldem nie zostało stosownie do jego wielkości wykorzystane. Jagiełło początkowo oblegał Malbork, ale 19 września król kazał zwinąć obozy i porzucić obleżenie. W niespełna miesiąc potem 10 października doszło do nowej dużej bitwy pod Koronowem, gdzie oddziały polskie, bez artylerii, stoczyły niezwykle zwycięską walkę z dwakroć liczącymi siłami krzyżackimi. Było to nowe zwycięstwo polskiego rycerstwa, które ówczesni stawiali nawet wyżej od Grunwaldu. W tej to bitwie zdobyto opisaną

przez Długosza chorągiew wielkiego mistrza krzyżackiego Henryka von Plauen „wydartą z rąk mego chorągiewnego Henrika Franke przez Jęzgo Nasiana z Ostrowiec z domu Toporczyków”.

Co się stało z chorągwiąmi? W katedrze wisiały one jeszcze w XVI wieku. Widział je BARTOSZ PAPROCKI, opisując wszystkie proporce w Herbach, zamieszczając też ich drzeworyty wykonane na podstawie opisu Długosza. Ostatnim świadkiem, który je oglądał w 1597 r. był JOACHIM BIELSKI. Prawdopodobnie uległy zniszczeniu podczas szwedzkiego najazdu Karola Gustawa. Znalezione co prawda informacje, że część chorągwi trafiła do Wiednia i miały tam być pod koniec XVIII wieku, ale jak dotąd nie potwierdzono tych wieści.

Natomiast „Banderie Prutenorum” do 1940 roku spoczywały w Archiwum Kapituły Katedry Wawelskiej, skąd zostały zabrane przez Niemców. Generalny Gubernator Hans Frank sprezentował dzieło Malborkowi. Po wojnie znalazło się w jednym z antykwariatów londyńskich i wykupiła je ambasada polska. W roku jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego trafiło ono do biblioteki UJ i pozostaje w niej do chwili obecnej.

ZBIGNIEW SATAŁA

POLEMIKI. POLEMIKI. POLEMIKI. POLEMIKI. POLEMIKI

Podczas lektury artykułu „Piąta Ewangelia” p. R. Rakowski, przeczytałem z zaskowaniem takie oto zdanie: „Pobożni rabbi prowadzili uczone dyskusje, czy w szabat wolno zabić węża, nie mieli natomiast wątpliwości, że „człowieka nie mającego Prawa” można „rozplatać na pół jak rybę”. Zdziwienie moje niepomniernie wzrosło, kiedy uświadomiłem sobie w pełni, co zdanie powyższe (będące zdaniem orzekającym a przez to pretendującym do miana sądu) niedowładnie sugeruje.

Wnioski są dość jednoznaczne: skoro pobożni rabbi nie mieli wątpliwości, że człowieka nie mającego Prawa można rozplatać na pół jak

bez względu na obowiązywanie Jezuruma (Israela) — miały nakazy i zakazy zapisane w Torze szebiaktaw (Torze napisanej), m. in.:

Zgniecenie węża było przestępstwem równie ciężkim, jak zabicie wielbłąda; nie wolno było zjeść jajka, którego większa część wyszła z kury przed ukazaniem się drugiej gwiazdy; nie wolno było wyjść poza miejscowość pobytu dalej niż dwa tysiące łokci; nie wolno było przemieszczać nieruchomości z miejsca pozostającego pod władztwem pewnej osoby, na plac publiczny; przedkór króla Dawida, Boaz wprowadził, że Izraelci winni pozdrawiać się wzajemnie imieniem Wiekuistego; itd. Obowiązywała nade

P. R.)⁴ pozostaje dalsza dedukcja z nakazu miłości „Weahabat lereacha kamocha” (o postaci nadanej mu przez Hillela, a mianowicie dedukcja, że nawet przy wykonaniu kary śmierci należało w myśl wywiedzionej z „Ma szadisan lecha” zasady wybrać najhumanitarniejszy sposób uśmiercenia).

Trzeba to wszystko znać i brać pod uwagę, kiedy się wyraża na łamach prasy pisząc o „pobożnych rabbinach”. W przeciwnym razie, można łatwo podzielić los choćby takiego ks. Józefa Pranażisa, który w dziele swym „Christianus in Talmud Judaeorum” wydanym w 1892 roku przejął wiernie różne brednie i wymysły dra

Glossa do „Piątej Ewangelii”

rybę, lecz zastanawiali się w dyskusjach czy w szabat wolno zabić węża, to pobożność rabbinów była fałszywa, a ich religijna moralność — zbrodnia w sensie dewiacji etycznej, gdyż wynikałoby, że bardziej cenili życie węża, niż życie człowieka nie mającego Prawa. Wynikałoby też, że wszyscy pobożni rabbi tak właśnie uważali w dobie, kiedy żył na Erec Hakodesz (Ziemie Świętej) Jezus ben Jozef, a także po śmierci Jezusa. Nic bardziej błędne!

W pierwszym wieku naszej ery w Jeruzalem żył Hakodesz (Jeruzolimie Świętej) działający — w jawnej opozycji względem siebie — dwie szkoły wyższe (Bejt hamidrasy): szkoła (założona przez rabbi Hillela Hazakana i szkoła (założona przez) rabbi Szammaję. Jednym z bardziej znanych uczniów Hillela był rabbi Awua Saul. Pozwolił on, by w szabat wesz obywateli. Inny znany uczeń Hillela, rabbi Camuel porządkował w szabat wsi obciążać przednie nożki. Powołując się na prawo — i to

wszystko główna zasada Tory szebiaktaw: „Weahabat lereacha kamocha” („Kochać bliźniego twego jak siebie samego”).

Talmud Bawli (Talmud Babiloński)⁵ informuje, że rabbi Jonatan radził, by Izraelczycy, „człowieka nie mającego Zakonu rozplatać na połowę, na dwie części, jak rybę”, a rabbi Eleazar dodawał wyjaśnienie, że trzeba takiego człowieka naprawdę „rozplatać od ucha do ucha”, a nie zabijać jak ofiarę, gdyż takie zabicie ma jeszcze znaczenie religijne, lecz uważali tak ortodoksyjni rabbi (uczniowie Szammaję) w wypadku, gdy Izraelczyk nie mający Zakonu popełnił ciężkie przestępstwo przeciw Prawu, i to popełnił w sposób lekkomyślny, lub — co gorsze — z chęcią grzeszenia, czyli w sposób cyniczny.

A oto charakterystyczny cytat z książki „Nauka Talmudu” Jakóba Awigdor: „W związku z tym objaśnieniem („Ma szadisan lecha lecha-bercha lo taawid” — reguła Hillela wywiedzona z ogólnego nakazu miłości bliźniego — podrk.

Augusta Rohlinga, kanonika katolickiego w Monasterze, wojującego antysemitę. W początkowych dwóch literach alfabetu hebrajskiego, wyuczytym Talmud w traktacie „Szabbat” (104a) ukryty nakaz pod adresem człowieka: „Ucz się zrozumienia!” Tego właśnie red. Mercikowi i sobie samemu życzyć. Z całego serca!

PIOTR RAKOWSKI

- 1 „Gazeta Krakowska” z dn. 9, 10 VI 84, nr 137.
- 2 „Chamisa Chumasa Tori”, „Wajakra” (18:18), gedruckt bey A. Holzhausen, Wien 1902, s. 195.
- 3 Talmud Bawli, druk D. Bomberga, Antwerpia 1520, s. XII. (pier. pol. wyd.)
- 4 Talmud, „Szabbat” 31.
- 5 Jakób Awigdor, „Nauka Talmudu”, Drohobycz 1928, s. 7.

Nie wiem, jaki los stał się udziałem księdza Józefa Pranażisa: czy „rozplatał go na pół jak rybę”, czy po przeczytaniu straszliwych bezceństwach jakie Talmud wypisuje o Żydzie chrześcijaństwa (trafiła go apopleksja, czy też może los ograniczył mu karę do publicznej kompromitacji za to, że „przejął wiernie różne brednie i wymysły” kanonika Rohlinga. Nie wiem i — prawdę mówiąc, nie interesuje mnie to zbytnio. Tym mniej, że w okresie mojej pracy dziennikarskiej spotykałem się już z bardziej precyzyjnymi „wróżbami” na temat losu, jaki stanie się moim udziałem i w tym i w tamtym życiu.

Nie zamierzam także opowiadać na lewo za wolany zarzut antysemityzmu. Dewociarzującą mi, że jestem osobistym nieprzyjacielem Pana Boga; wojujący ateści widzą we mnie kościelną wtyczkę w partyjnym piśmie. Nikt natomiast nie zarzucił mi dotąd antysemityzmu. No cóż, jeden kamik więcej, jeden mniej... Jak długo zarzuty są bzdurne, mam prawo je lekceważyć i z prawa tego również teraz korzystam.

Skończył jednak Redakcja, na usilne prośby p. Piotra Rakowskiego, zdecydowała się list jego wydrukować, muszę — acz robię to niechętnie — zająć wobec niego stanowisko. Sprawę ułatwił mi zresztą sam Autor listu, potwierdzając pokrednio wyrażoną przez mnie opinię o Kazuistycznym doktorze Prawa, krytykowanej ostro nawet przez najbardziej prosemicką ewangelikę — Mateusza.

Poniżej jednak trudno łączyć od czytelników, aby w przewidywaniu ewentualnej polemiki — przechowywali wyzniki z artykułami, chciałbym przypomnieć kontekst w jakim znalazło się inkryminowane zdanie.

Otóż, wbrew temu, co mi zarzuca Autor listu, nie pretendowałem do tego, aby „wyrokoować” o etyce żyjących dwa tysiące lat temu rabbinów. Po prostu, charakteryzując stosunki społeczne w Palestynie w I wieku n.e., czy ściślej: stosunek uczonych w Piśmie do pogardzanego przez nich „motłochu” (czyli „ludu ziemi”) — „am-ha-arez”, który nie przestrzegał rygorystycznie wszystkich 613, narzuconych mu przez rabbinów, nakazów i sakazów, powołałem się na Ewangelię Jana (autentycznego Żyda), na Talmud⁶ oraz...

I tu właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Omówienie jej choć rozpocząć od stwierdzenia, że najbardziej spotykany w moich artykułach słowo jest zaimek „ja”. Mówiąc inaczej, podejmując jakiś temat, staram się unikać, o ile to możliwe, własnego — a więc subiektywnego — komentarza, cały ciężar dowodów spychając na barki autorów cytowanych dokumentów, źródeł historycznych oraz dzieł wybitnych specjalistów.

Pisząc artykuł pt. „PIĄTA EWANGELIA”, omawiający m.in. stosunki klasowe w Palestynie w czasach Jezusa, oparłem się o opinie autorów, którzy wydali mi się kompetentni. Aby nie nucić czytelnika ich wyliczaniem, ograniczę się do dwóch, których żadną miarą o stronniczości podejrzewać nie można. Pierwszym z nich jest autor „Dawnych dziejów Izraela” i „Dziejów wojny żydowskiej przeciw Rzymianom”, rabbi Józef syn Mateusza (Józef ben Matat), zwany Flawiuszem, żyjący w latach 37—112 faryzeusz, kapłan jerozolimski i zarazem najwybitniejszy dziejopis żydowski tamtych czasów.

Sięgnąłem też po książki cennego historyka katolickiego, członka Akademii Francuskiej, Henri Daniel-Ropsa.

Sądząc, że Józefa Flawiusza, który w pracy pt. „Przeciw Apionowi” rozprawił się ostro ze współczesnymi sobie poglądami antysemitkami, nikt o antysemityzm nie posiadał. Co zaś do Daniel-Ropsa, autora książki „Od Abrahama do Chrystusa”, czy „Życie codzienne w Palestynie za czasów Chrystusa” — powiem krótko: jest on zafascynowany dziejami starożytnego Izraela i nie starczyłoby artykułu, gdybym chciał przytoczyć choćby część jego opinii przenikniętych głębokim szacunkiem dla religii, kultury, tradycji i obyczajów narodu, który wydał Jezusa.

(P. Rakowski pisze „Jezus ben Jozef”, czyli Jezus syn Józefa...)

O stosunku Daniel-Ropsa do starożytnego Izraela mówi m.in. tytuł rozdziału jednej z jego książek: „Ten Żyd, który był Chrystusem”. We wspomnianym rozdziale czytamy: „Był to Żyd, zwyciężający Żyd, Żyd jak wy, jeden spośród was. Żyd pochodzący z epoki Augusta i Heroda... Jest Żydem nie tylko z pochodzenia, nie tylko dzięki codziennym obyczajom i formacji wewnętrznej. Jego duchowe postępowanie uwarunkowane jest głęboko w ziemi izraelskiej”.

Mając nadzieję, iż nawet najbardziej nieufny czytelnik nie posiada już Daniel-Ropsa o antysemityzm, pozwolę sobie zacytować fragment innej jego książki („Dzieje Chrystusa”) omawiający stosunek uczonych w Piśmie rabbinów do „ludu mieszkowców”, czyli „am-ha-arez”:

„Pomiędzy klasami Izraela istniała głęboka choć zamaskowana wrogość”.

GLOSSA do GLOSSY

Dowody owej wrogości można znaleźć zarówno w dziejach Józefa Flawiusza, jak i w samym Talmudzie:

„Nienawidzą nas nawet bardziej niż poganie nienawidzą Izraela. Gdybyśmy im nie byli potrzebni do kupowania ich wyrobów, pozabijaliby nas” — mówił rabbi Eleazar.⁷

A jeden z najwybitniejszych doktorów Prawa, rabbi Akiba mówił:

„Zanim sam zostałem pisarzem, myślałem sobie: Ach, gdybym dostał jednego z nich w swoje ręce! Ugrzybnął go jak osioł!” — „Czy nie wystarczącyby ugrzyć go jak pies, naukiwiecie!” — zauważył jeden z uczniów. „Nie, jak osioł — odrzekł medrec — osioł bowiem grzyzie lepiej, niż osioł”.

Wróćmy jednak do Daniel-Ropsa, który pisze: „Doktorowie mieli o am-ha-arezach niemiłe, nie równie skrajne: rabbi Hillel twierdził, że „cham nie ma sumienia”; rabbi Jonatan radził, by „człowieka nie mającego Zakonu rozplatać na połowę, na dwie części, jak rybę”; rabbi Eleazar dodawał wyjaśnienie, że trzeba ich naprawdę „rozplatać od ucha do ucha”, a nie zabijać jak ofiarę, gdyż zabicie takie ma jeszcze znaczenie religijne⁸, a wszyscy godzili się na to, że nie jest zabronione pchnąć chłopca nożem w dzień szabatu”.

Pan P. Rakowski nawiązując do „propozycji Jonatana twierdzi: „lecz uważali tak ortodoksyjni rabbi... w wypadku, gdy Izraelczyk nie mający Zakonu popełnił ciężkie przestępstwo przeciw Prawu, i to popełnił w sposób lekkomyślny lub — co gorsze — z chęcią grzeszenia czyli w sposób cyniczny”.

Nie jestem uczonym talmudystą, tym niemniej wydaje mi się, że argumenty Autora stanowią się na nogach. Czy nie znając Prawa, można grzeszyć przeciwko niemu w sposób cyniczny? Jest to albo kazuistyka, albo brak logiki. „Logikę” rabbinów Jonatana i Eleazara natomiast zrozumieć dopiero wtedy, gdy nadamy jej ramy klasowe, czy — jak kto woli — kastowe; gdy potraktujemy je jako przejaw pogardy i nienawiści do „am-ha-arez”.

Wniosek taki stanie się jeszcze bardziej przekonywujący, gdy przypomnimy, że — według Talmudu — prawo żydowskie znało cztery „sposoby uśmiercania”: ukamienowanie, ścięcie, spalanie żywcem oraz uduszenie.⁹ (Nawiasem mówiąc, Rzymianie odebrali Sanhedrynowi prawo wydawania wyroków śmierci „na 40 lat przed zniszczeniem Świątyni” — jak przynajmniej traktat Sanhedrin, 18a.)

Nie przeciągając tego — moim zdaniem, niepotrzebnego bo opartego o wydumane oskarżenia — sporu, chciałbym natomiast zwrócić uwagę na dwie kwestie:

Od króla Olbrachta obowiązywało w Polsce prawo przewidujące, że kto zabije szlachcica, zapłaci 120 grzywien i odsiedzi więzienie. Kto natomiast zabije chłopca — płaci tylko 10 grzywien i jest od więzienia zwolniony. Prawo to można przytoczyć jako przykład nierówności stosunków społecznych w dawnej Polsce. I nie sądzę, by ktokolwiek poczuł się urażony, gdyby twórców tego prawa (uznanego już przez A. Frycza Modrzejewskiego za sprzeczne z moralnością chrześcijańską) potraktować surowo.

Po drugie. Ponieważ P. Rakowski nie dopowiada sprawy do końca, warto może wyjaśnić przynajmniej parę terminów. Otóż „rabbi” („nauczyciel”) był tytułem nadawanym uczonym w Piśmie, doktorom Prawa (Tory) zajmującym się komentowaniem i interpretacją zawartych w Torze przepisów: religijnych, prawnych, etycznych, rytualnych. Nie będąc kapłanami, stanowili przecież, ciesząc się wielkim autorytetem, elitę intelektualną starożytnego Izraela.

Komentarze rabbinów weszły w skład szeroko rozbudowanej tradycji ustnej, która w późniejszych wiekach została skodyfikowana w dwóch zbiorach składających się na Talmud: w Misznie (zawierającej 63 traktaty prawnicze i kanoniczne) oraz w komentującej ją Gemarze. Do literatury talmudycznej zalicza się także Midrasz, czyli komentarze do St. Testamentu. Talmud zawiera dwa rodzaje utworów: Halakha czyli naukę oraz Haggada czyli opowiadania (m.in. także przypowieści, sentencje, anegdoty etc.).

Talmud skodyfikowano stosunkowo późno. Mimo to znawcy przedmiotu twierdzą, że zawiera on tradycje sięgające I w. n.e., a nawet starsze (Rabbi Hillel żył w latach 90 p.n.e. — 10 n.e., a rabbi Szamaj był mu współczesny).

P. Rakowski, podsumowując niejaki temat, twierdzi, że w tamtych czasach „obowiązywała nade wszystko” zasada: „Weahabat lereacha kamocha”, czyli kochać bliźniego twego. Tymczasem skądinąd wiadomo, że zasada ta nigdy nie niwelowała przeciwności klasowych. A także, że pojęcie „bliźni” (nb nie tylko w judaizmie) różnie w różnych czasach nadawano znaczenie. W kwestii tej i doktorowie Prawa nie zawsze byli zgodni ze sobą, zastanawiając się, czy goj, to również bliźni. Rabbi ben Zakai mówił: „Zabij nawet najpięknego goja”, natomiast rabbi Meir twierdził, że „goj, który przestrzega Prawa jest równy arykapłanowi”¹⁰. Rabbi Hillel z kolei mawiał: „Kochajcie waszych towarzyszy na ziemi, kochajcie wszystkie stworzenia, doprowadźcie ich wszystkich razem z wasm do Tory”¹¹.

W pochodzący z I wieku żydowski podręcznik moralności jest takie zdanie: „Niech pot zrosi jarmuż w ręku twoim, póki nie rozeszsz, komu masz dać”.

Parafrazując je można powiedzieć: niech pot zrosi pióro w ręku twoim, zanim kogos (lekkomyślnie) oskarżysz. Czego i panu Rakowskiemu i sobie samemu życzyć. Z całego serca!

WIESŁAW MERCIK

- 1 Kalla 18 b oraz traktat Szabbat 104 b. Także: „Toledot Jezusa”, 5 Pesachim 57 a, 5 Pesachim 48 b i tamże; 5 Proszę zwrócić uwagę na niemal identyczne brzmienie tego fragmentu u D. Ropsa i u P. Rakowskiego, 9 w traktacie Sanhedrin, 9 Sifra 56, 9 Pirke Abbot 1, 12.

TEATR

KONFRONTACJE



Scena z „Irydionem” K. Krasińskiego (fot. W. Flewiński)

przypadkach — wybitnych inscenizatorów? Kto tu się, i z czym, przeliczył, jako wypowiadał nieogólnie na wyrost? Rzecz jednak nie tylko w tym, iż plan zrealizowano w jednej czwartej — pomijając dwa spektakle w ogóle nie programowane, co w końcu nie może (i nie musi) być podstawą do zarzutów, bo życie teatralne ma również swoje wymagania, meandry i przeszkody, więc nie każda okoliczność da się przewidzieć oraz uwzględnić w planie. Tak, jak nie wszystkie chętnie sztuki można zrealizować z przyczyn, najogólniej mówiąc, obiektywnych. Zastanawia tu — nie pierwszy zresztą raz, szczególnie w obrębie trzech ostatnich lat — kontrast między dość humiznymi zapowiedziami a stosunkowo nikłymi wynikami obietnic. Nie tylko ilościowych, lecz także artystycznych. Albowiem nie tyle zał niezrealizowanych dramatów, ile — przy obniżonej „produkcji” — braku wydarzeń teatralnych. A skoro już coś się wydarzy, to raczej poza warstwą wielkich, humanistycznych myśli i prawdziwie twórczych form; bywa natomiast bliższe przejawom rozbrajanych na marginesie dramaturgii — tanich emocji.

Co nam proponował STARY TEATR na sezon 1983/84? Antygona Sofoklesa w reż. A. Wajdy, Rodzime Totów Orknijskiego w reż. J. Czerneckiego, Don Carlosa F. Schillera, Letni dzień S. Mrożka w reż. J. Jarockiego, Operetkę Gombrowicza w reż. J. Grzegorzewskiego, Gubiala Włazara Witkacego w reż. R. Prochnickiego, Fantazję Słowackiego w reż. J. Nyczaka, Warszawiankę Wyspiańskiego w reż. A. Wajdy, Affabulazione Pasoliniego, Termopile polskie Mićkiewicza, Pułapkę Różewicza (wszystko w T. Starym i Kameralnym), A w PIWNICY — Przez śnieg Łubieńskiego, Amadeusa Schaffera (w reż. R. Polańskiego), Wyzwolonego Brejdyganta...

Tymczasem CO ujrzeliśmy na scenie? Antygona, Rodzime Totów, Don Carlosa (w przeddzień urlopu teatru) i... nie zgłoszona Gre o Kazdym niby — Iwaszkiewicza wg Hofmannsthal. Zaś w PIWNICY ani jednej z „obiecanych-cacnek”, za to Terapię grupową dla mężczyzn w Mroźka w oprac. J. Jarockiego, tyle że w wykonaniu słuchaczy PWST — co raczej bez przekonania dałoby się zaliczyć firmie STAREGO TEATRU, niezależnie od oceny jakości i wielkości — i Uczniowie Czarnoksiężnika L. Kleberga. Najlepsze (3) pozycje zdominowała zbyt plakatowa publicystyka, grubo naszpikowana aluzjami, zamiast estetyczno-poznawczych poglądów (Antygona i Uczniowie Czarnoksiężnika). Z wydarzeń w stylu dawnego Wajdy, dawnego Jarockiego i nie tak dawnego specjalisty od mini-form (Biedni ludzie) Bradeckiego — zostały się jedynie wspomnienia...

TEATR im. J. SŁOWACKIEGO przystąpił 13 premier na dwóch scenach. I tu konfrontacja z rzeczywistością wypadła podobnie,

jakby siłą wtłoczony na wielką scenę. Makusznickiego — mimo dobrych chęci i paru scenicznych chwytów — odarto z lekturowego wdzięku — i tylko Hymn w MINIATURZE (insc. W. Ziętarski) uważa wypada za teatralny sukces na miarę mini.

Jak to się dzieje, że po okresie improwizacyjnych zakrętów dwa reprezentacyjne teatry Krakowa, miast lepiej — prezentują się gorzej? Niejaką nadal błądząc po omacku we (własnym) chaosie reperturowym, bo trudno nazwać inaczej przypadkowe łatanie planowych dziur. Albo wiec plan wyssany z przysłowiowego palca, albo zabrakło odpowiedzialności w konstruowaniu i „dopinaniu” teatralnych przedsięwzięć?

W tzw. reszcie scenicznej — BAGATELA także (acz na mniejszą skalę konfrontacyjną) zbagatelizowała swe zamiary, „odpuszczyła” z bieżącej ambitnych przedstawień Don Juana Mollera, Lysistratę Arystofanesa, a wreszcie intrygującego Pantaleona i wizytantki Lysosa. Najciekawiej artystycznie wypadł... monodram Socesu Jonasz (w reż. A. Bednara), choć był dybluśnieduły dla przeciętnej odbiorcy, i — mimo drobnych zastrzeżeń — Igraszki trafu i miłości Marivaux w reż. A. Polony.

TEATR ŁUDOWY w zasadzie zrealizował pozycje, przewidziane przed sezonem (5), aczkolwiek nie zdążył sięgnąć po zapowiadane Zmarły wstanie K. H. Rostkowskiego i Wielkiego Fryderyka A. Nowackiego. Cudu (ideowo-artystycznego) nie było ani w Łodojcie Radziejewa, ani w Kordianie Słowackiego, ani nawet w Krwawych gościach Lorke. Lepiej powiodło się Rajowi Morawii oraz Tańcem w zbrodni Krumkowskiego (w reż. T. Kwinty) czy Balobu w operze Tuwima-Gizyckiego.

No i GROTESKA. Jedyny Teatr Łalki i Maseki. Tu nie ma raczyńskich wahań form (i treści). Cztery premiery — na pięć anonowanych (zrezygnowano bowiem z Legendy o Antygonie wg Brechta w insc. Z. Jaremułowicz, rozumując słusznie, że jedna Antygona na Kraków, w Starym Teatrze, całkowicie wystarczy) — wniosły trochę nowości techniczno-warsztatowych, jak np. Łalkarsz Stevensa i Pucherki Z. Poprawskiego, prapremię T. Słowiacka Biuro rzeczy znalezionych, oraz jeden „nieuważny” czyli adaptacyjny i odbiorczy zbyt zawiły Złotygo Lisa wg J. Andrzejewskiego. Reszta w normie, ku uciesze dziecięcej widowni. A wiadomo, że ta publiczność nabierać się na byle co nie da, chociaż pozornie można ją czarować łatwymi sposobami. Całe szczęście, GROTESKA z na swych odbiorców i w i.e., jak oraz czym — w odpowiednim zestawie — trafia do ich wyobraźni.

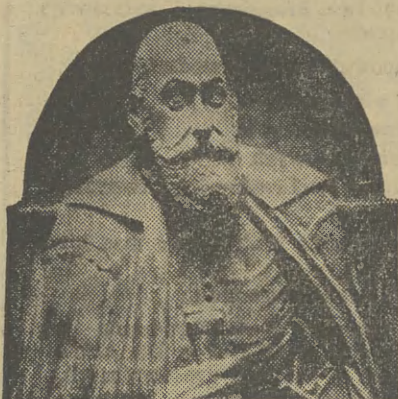
Gdyby świadomością TEGO towarzyszyła stała pozostali scenom...

JERZY BOBER

Motto:

Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty
Nie będą moje czułe nocy bez zapłaty;
A co mi za żywota umiłe czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy.
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
Ze moich kości popiół nie będzie wżgardzony...

(Jan Kochanowski — „Muza”)



Publikujemy ostatni odcinek eseju Zbigniewa Święcha, opis ekspedycji archeologicznej do krypty kaplicy Kochanowskich w Zwoleńskim kościele i odkrycia piątego grobu w „pośmiertnej biografii” autora „Trenów”. Jak pisał, trzy tygodnie temu, niemal w wigilię sobotkowych ognió, imienin poety i prawdopodobnych również jego urodzin Zwoleń przeżył swój wielki dzień. Tym ważnym wydarzeniem był... ponowny pogrzeb Jana Kochanowskiego i członków jego rodziny. Był on konsekwencją odkryć w tym miejscu opisanych.

Dźwięczą mi w uszach słowa poetyckiego testamentu Jana z Czarnolasu, gdy oto stoję nad otwartym wykopem, tuż pod progiem byłej krypty przy zwoleńskim kościele. Myślę sobie: jest jakiś symbol, zawarty również w kłamrze, wyznaczający czas śmierci poety i odkrycia — wnosząc z przekazów — piątego już, w jego „pośmiertnej biografii”, grobu. Tym symbolem jest — upał. Wiemy już, jaki był ów sierpień 1584; podobny, wielodniowy żar zlewał z czoła pot wszystkim, którzy towarzyszyli poszukiwaniom jego dożytych szczątków na początku czerwca 1982 roku.

Po pierwszych trzech dniach nie było zapowiadano, że ekspedycja archeologiczna wyda owoce. Na twarz prowadzącego prace wykopaliskowe WOJCIECHA TWARDOWSKIEGO z radomskiego muzeum malowało się na przemian zmęczenie i niecierpliwienie; nie dźwięczało, przecież ostatni dokument zapowiadał, że szczątki człowieka, który „został w Polsce wiersze, a pozostał w poezję”, mają znajdować się pośrodku krypty, bliżej wejścia pod posadzką na głębokości czterech łokci, a tymczasem tam nie znalazło — para pomaza kości — nie.

Jeszcze poprzedniego dnia z wielkim zapałem pracowano w wyko-

szczyzn jak m. jn. profesorowie Janusz Pelc, Tadeusz Ulewicz czy Wacław Urban. Analizował nie tylko wszystkie teksty Kochanowskie, ale i o nim, także oglądał wszystkie kamienie wokół Czarnolasu. Sycyn czy Zwoleń, nie pytając, kto i kiedy zwróci mu kosza licznych tu pobytów. Przygotowuje bowiem książkę „Brewerie na Helikonie”.

ZBIGNIEW ŚWIĘCH

CZARNY LAS TAJEMNIC WOKÓŁ JANA KOCHANOWSKIEGO (4)

Badania pod starą kostnicą mają być więc także dla niego ostatnim ogniem poszukiwań. Nie chce, żeby to było „śledem lat chudych”, pozbawionych naturalnej puenty, bo wówczas można by tylko napisać rzecz o „pośmiertnej kłatwie nad szczątkami Jana z Czarnolasu”. Trudno dziwić się niepokojom Boska, skoro to on przebiegł swym uporem z mobilizacją wszystkich ludzi, którzy teraz

skrzyni, znajduje się także pozostałość po jej sławnym ojcu...

Żeby już dłużej nie trzymać w napięciu Czytelników, czas po temu, aby przedstawić dalsze „pośmiertne peregrynacje Jana Kochanowskiego” (gdzie pozostawiliśmy go przy pierwszym pochówku na lubelskim starym mieście, które w tym czasie, dając poszukiwaniom prowadzone prawie jednocześnie w

tylko w podręcznikach szkolnych sprawy Kochanowskiego nad podziw uproszczono — stąd tyle zdumienia na twarzach czytających te słowa. Tyle samo zaskoczenia maluje się na twarzach dzieci i młodzieży, które czytając „Jan Kochanowski tu spoczywa...” dowiadują się, że właśnie tu... nie spoczywa. A ściślej: spoczywał tu aż, czy raczej tylko, do roku 1830. Wtedy bowiem woda zalała podziemną część Kaplicy Kochanowskich: w krypcie było już kilkanaście trumien. Wówczas to pleban, Wojciech Grzegorzewski zarządził, że wyjmie się szczątki wszystkich kilkunastu i położy je razem we wspólnej mogile u wejścia do kościoła, a zatem w miejscu dzisiejszej dzwonnicy. Upraszamy o szczególne względy dla wielkiego poety, ksiądz Grzegorzewski miał powiedzieć: „Po śmierci także Kochanowski, jak i z nas każdy...” I niestety, wszystkie dalsze komplikacje wokół wędrowek pośmiertnych szczątków Jana Czarnoleskiego już nie uda się oddzielić kości poety od innych z rodziny Kochanowskich. Czy z tego wynika, że rzeczywiście także Kochanowski po śmierci, jak i z nas każdy? W pewnym sensie oczywiście tak, ale przecież nie o to chodzi. Teraz idzie właśnie o pośmiertne uhonorowanie wielkiego mistrza poezji, księcia poetów Renesansu w Polsce. A zatem o antytezę wypowiedzi księdza Wojciecha Grzegorzewskiego.

Książę pleban, niestety, na swoim postawił i w 1830, suma zawartości kilkunastu trumien (może pomniejszona o te kości, znalezione niedawno w ziemi krypty) — jako czwarty grób poety, pochowanego wspólnie z członkami rodu Kochanowskich, znalazła się pod ówczesnym wejściem do kościoła w Zwoleń. Co więcej na początku XX wieku, gdy świątynię rozbudowywano — a przy niej, na terenie okalającego cmentarza budował miano kostnicę, zdecydowano się — przypominać to starą mieszkankę Zwoleń — kopać piąty grób poe-

Prochy Jana i innych Kochanowskich przeniesiono wtedy pod osłoną nocy oraz koczarskiego oddziału. Kazimierz Borek dysponuje także innymi danymi: w latach dwudziestych remontowano podłogę kostnicy, a w pięćdziesiątych, gdy przebrabiano kostnicę na punkt katechetyczny, przed zalaniem betonową po-

sadzka i ułożeniem podłogi, walają się ponad masę jakichś kości...

Właśnie 4 czerwca 1982 przywołano z pamięci te fakty, gdy w wykopie nie nie wskazywało, że uda się pośmiertne szczątki Jana i Kochanowskich pod posadzką byłej krypty odnaleźć. Czyżby w latach dwudziestych przedpadły? A może już za pamięci obecnego pokolenia zawierzyli się i „kości popiół został wżgardzony”? Pocięliśmy więc zatem, że nie wierząc, że kości zapewne pochodzą z cmentarza, do niedawna jeszcze — bezpośrednio otaczającego zwoleńskiego świątynię. W poniedziałek, 7 czerwca kopano dalej od rana; na szczęście Twardowski nie zniechęcił się!

Około godziny czternastej łopata archeologiczna, na głębokości prawie 2,20 metrów delikatnie zahaczyła o kawałki desek i kości. Przekazy powiadały, iż szczątki wszystkich Kochanowskich przeniesiono w to miejsce w dużej skrzyni. Po tylu latach skrzynia najwidoczniej rozpadła się. Wojciech Twardowski z dużą ostrożnością wyjmował zawartość znalezionej. Jeszcze wiele dni miało mu zająć praca, związana z zabezpieczeniem doczesnych szczątków Jana Czarnoleskiego i jego rodziny.

Protokół komisji, redagowany w Boże Ciało Anno Domini 1982, dnia 10 czerwca, spisany nad otwartym grobem pełnym kości i kilkunastu czaszek stwierdza: „Komisja jest zdania, że szczątki kostne znalezione w krypcie kaplicznej i pod kaplicą przedpogrzebową należą do członków rodziny Kochanowskich i innych zmarłych — być może z cmentarza przykościelnego”. Protokół zawiera też wiele szczegółów, wyżej już opowiedzianych.

W tym samym Dniu Bożego Ciała teren wykopalisk odwiedził także ksiądz biskup Edward Materski — ordynariusz Diecezji Sandomiersko-Radomskiej, wyrażając zadowolenie z udanej misji archeologiczno-konserwatorskiej.

Teraz zajęto się dalszymi pracami badawczymi, zwłaszcza antropologicznymi. Profesor Tadeusz Dzierżykray-Rogalski i dr inż. Tadeusz Polak zobowiązali się nad otwartym, piątym grobem Kochanowskiego, że przygotują i wydadzą naukowe opracowanie dokumentów i protokołów, dotyczących tak ważnych problemów. Powstanie także archeologiczno-konserwatorski dokument dla potomnych.

Trzeba niezbędne badania odbyć, zanim wyprawi się szósty, uroczysty pogrzeb godny WIELKOŚCI, KTÓRA ZNAJDZIE WRESZCIE SWE MIEJSCE. W Kaplicy Kochanowskich. Miejsny nadzieję, że tym razem naprawdę na zawsze. Zgodnie z napisem na płaskorzeźbie.

Dziwić może tylko ten fakt, że podczas rozróżnionych jubileuszów — dat, wyznaczających przyświeca świat i śmierć poety — gdy działają różne oficjalne komitety i instytuty, wyznaczono zwoleńskiego dokonaną — praktycznie — siłami społecznymi. Uporem działaczy zwoleńskiego Towarzystwa im. Jana Kochanowskiego i ambitnego publicysty „Literatury” Kazimierza Boska, który — przywódcą antropologów, archeologów i konserwatorów — pragnął spełnić poetycki testament Jana z Czarnolasu, by „jego kości popiół nie został wżgardzony”.

• Drukujemy rozdział książki pt. „Seksatki z odkrytymi”, przygotowanej przez Królową Agencję Wydawniczą w Krakowie.

EWA OWSIANY

AFAZJA
czyli niemota

...no, to jest ten, boleczek, tak, to ja jestem dość, nie mi mi nie nie do, tam jest, coś, uroczą, księżkę, książkę, pozycja w dziennikach, ostre, i, widzę, tylko no...

Ten urywek mowy afazyka znajdującego się w stanie po urazie czaszki draży mi uszy gdy od tramwaju na skos idę na AWF. Tablica ustawiona na skraju parku przy Mogińskiej przypomina po angielsku, że w tej krakowskiej uczelni (wydaje się, że przecież z Uniwersytetu Jagiellońskiego) trwa Pierwszy Międzynarodowy Kongres Rehabilitacji Chorych z Afazją.

Myślę o 20-letniej dziewczynie, pozbawionej mowy po zatorze i wylewie, i o mężczyźnie w sile wieku, bardzo kiedyś elokwentnym, który biegał co rano do kiosku, kupuje gazety i przegląda je z nawiąką, ale nie rozumie ani literki. Z wszystkich jego przemówień, którymi blizszy w swym zawodzie zostały tylko dwie sylaby, powtarzane bez związku.

Kongres dogasa powoli. Jest już po otwarciu obrad, hucznym co się zowie, bo nagłośnienie, jak to zwykle u nas, wpadło w fiasko. Słuchający się też sesję plenarną, rozproszyli na grupki zainteresowań. W sali D trwa pokaz elektroakupunktury. Na krześle siedzi starsza pani, magister Leszek Solarz umieszcza w jej ciele cienkie igiełki.

Czuje zmiany napięcia mięśniowego, czuje co się dzieje pod palcami — komunikuje zbrań, łącząc tajemnicze numery punktów w indywidualny system nakłód. Do igieł podłącza stymulator: „chodzi o to, aby bodziec był w miarę maksymalny, ale pod progiem bólu”. Tymczasem, że nasza skóra to obszar pełen tajemniczych tuneli. Umiejetnie do nich dotrzeć to usunąć napięcie, zmniejszyć skutki porażenia, przywrócić integrację i czynność mózgu, przyspieszyć wyniki ćwiczeń logopedycznych. Oto sprzęt, parametry istotne przy stosowaniu elektroakupunktury, oto technika i metoda prowadzenia zabiegów. „Druga strona stymuluje ręcznie kręcąc igłą”.

Starsza pani przynika oczu. — Czy to boli? — Współuczniacy szent z sali. Uśmiecha się.

Obok w sali C można zdobyć wiedzę z dziedziny akupresury, muzyko- i choreoterapii. Tak, tak, tańce również może uczestniczyć w zwalczaniu afazji. Lek, med. Anne Drodowska można by nazwać prekursorem aerobiku. Jej sylwetka jest najlepszą reklamą celowości zainteresowań. Demonstrując taneczne ruchy leczniczo-gimnastyczne, wyjaśnia zbranym organizującym rolę rytmu, mechanizm odświeżania emocjonalnego, pobudzając i koncentrując siłę muzyki. Muzyka jest jak woda — mówi. — Wzmocnia wartość terapeutyczną ruchu, a znosi zmęczenie, tak że prawie nie czuje się wysiłku.

Oto film magnetowidowy. Prezentuje muzykoterapeutyczne sposoby: pobudzania procesów przystosowania i kompensacji w schorzeniach narządu ruchu. Te zabiegi stosowano w Oddziale Rehabilitacji Leczniczej Krakowskiego Szpitala Zespołowego im. Gabriela Narutowicza. Terapia została objęta pacjentem z niedowładami, u których zauważono depresję, obniżenie sprawności intelektualnej, nadmierne uzależnienie od otoczenia. Program „dnia muzykoterapeutycznego” nadawany był codziennie przez głośniki zainstalowane w salach chorych. Jak wynikało z trzymiesięcznej obserwacji pacjentów wpływał na nich przeciwdepresyjnie, uspokajająco, rozluźniająco, sprzyjał otwarciu się, niwelował lęk, agresję, wzmacniał wiarę we własne możliwości ruchowe. Muzykoterapia okazała się dobrą metodą wspomagającą wszystkie inne zabiegi usprawniające.

Nad Krakowem przetacza się właśnie gwałtowna burza, w sale AWF wnikła nagle orzeźwiający zapach mokrej trawy i parujących chodników. Pani doktor opowiada zbranym o tym, jak muzykoterapia może wspomagać akupresurę, to jest naciskaniem punktów regulujących krążenie w mózgu. I tak na przykład w trzecim palcu mamy punkt dobrego humoru (ba, jak go znaleźć), dwa doleczki na wierzchu ramienia są odpowiedzialne za ból stawów, punkt w dłoni wpływa na rytm serca, potrojnym ogrzewacz nr 15 rozmasowany wysoko na barku działa przeciw zmęczeniu, a silny ucisk przy końcówce brwi — niweluje migreny. Punktik na środku głowy odpowiednio naciśnięty sprzyja lepszej koncentracji, inny znów usuwa wyczerpanie, albo działa wręcz reanimujący, itp., itp.

Po takim wymienieniu pacjenta przyszedł mi relaks — mówi lekarka. — Tym relaksem jest podparcie karku i tekstowi, który plynie z piaty. Mamy polskie relaksy mówione głosem Danuty Michałowskiej i Gustawa Holoubka (tego ostatniego bardzo lubię słuchać kobiety), mamy tekst niemiecki nałożony na wspaniałą muzykę Mozarta, a także japoński, pełen świętegojedy ptaaków. Jakoś na nasze odczućia zbyt przedzi, zbyt mobilizujący, zupełnie jak by się słuchało hymnu do słoneca. My wolimy te europejskie: „Głęboki spokój, nie myśl o niczym, moje ramie staje się ciężkie, bardzo ciężkie”.

Te teksty ma prof. Aleksandrowicz, no bo kłóży inny — mówi mi pani Drodowska — mógł być zdobywany, zachować dla nas...

Sala pełna słuchaczy poddaje się bezwiednie nastrojowi. Jeszcze chwilką, a zaczęliśmy sami układać japońskie ikebany, kontemplując dające nam wszystko, co żyje, do kosmosu. Jeszcze chwilką i a nami owładnie stan ducha niezbędny przy sprawowaniu owych rytuałów, szacunek dla gościa, szacunek dla życia, wyciszenie, spokój przede wszystkim...

Mnie również ogarnia zupełne odprężenie, nieścisłość do zebrania myśli. Gorzej! — Pustota

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

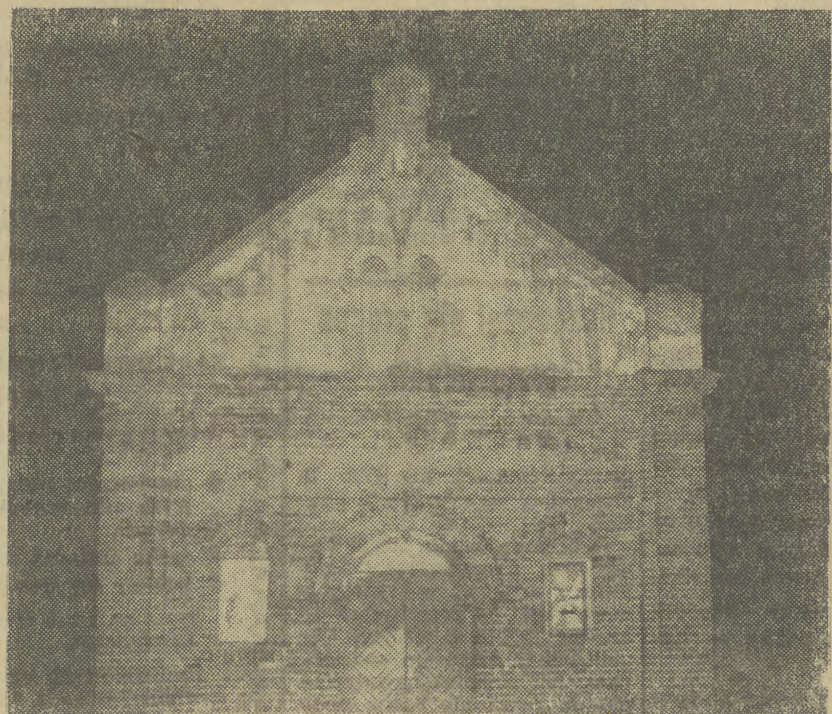
pie, spodziewając się lada moment ukazania kawałka trumny, czy raczej dużej skrzyni, w której u początku wieku XX złożono szczątki kilkunastu trumien, w tym także — Jana Kochanowskiego...

— Nie wiadomo, czy ziemia w tym akurat miejscu nie pochłonięła wszystkiego — „na pociechę” powiedział ktoś z boku, udający głośnie. Wiedzę przecię, że w torfie zwłoki zachowują się przez wieki prawie w całości, ale taka ziemia, jak zwoleńska, może strawić wszystko, bez reszty.

NAD wykopem pochylają się głowy członków specjalnej komisji: wśród nich jest także znany antropolog — prof. dr TADEUSZ DZIERŻYKRAY-ROGALSKI, ponieważ sprawa Kochanowskiego pochłania go, od chwili, gdy — zaproszony przez Kazimierza Boska — zajął się badaniem tzw. czaszki Kochanowskiego w Zbiorach Czartoryskich w Krakowie. Z zacięciem śledzi każdy ruch łopaty Wojciecha Twardowskiego naczelny dyrektor P.P. Pracowni Konserwacji Zabytków w Warszawie, dr inż. TADEUSZ POLAK; kierowana przez niego firma zajęła się konserwacją krypty kaplicy Kochanowskich w zwoleńskim kościele. To przecież dzięki zabiegom konserwatorów z PKZ (oddziałów kieleckiego i warszawskiego), sławna tablica z wizerunkiem poety i — otąd — myląca acz podręcznikowa informacja: „Jan Kochanowski, wojski sandomierski, tu spoczywa...” odzyskała swój pierwotny kształt. To przecież dzięki zabiegom konserwatorów z PKZ (oddziałów kieleckiego i warszawskiego), sławna tablica z wizerunkiem poety i — otąd — myląca acz podręcznikowa informacja: „Jan Kochanowski, wojski sandomierski, tu spoczywa...” odzyskała swój pierwotny kształt. To przecież dzięki zabiegom konserwatorów z PKZ (oddziałów kieleckiego i warszawskiego), sławna tablica z wizerunkiem poety i — otąd — myląca acz podręcznikowa informacja: „Jan Kochanowski, wojski sandomierski, tu spoczywa...” odzyskała swój pierwotny kształt.

Ludzie Tadeusza Polaka w dniach, gdy szukano szczątków poety, przygotowywali właśnie projekt urządzenia na nowo krypty Kochanowskich, w której — oby tym razem nikt nie przerwał wiecznego snu autora „Trenów”, znów po z górą 150 latach spoczął nasz najwybitniejszy poeta Odrodzenia. Nerwowo biegają w rejonie prac wykopaliskowych działacze zwoleńskiego Towarzystwa im. Jana Kochanowskiego: BOLESŁAW SKRZEK i STANISŁAW JANUSZ, walczący od lat o odnalezienie prochów Jana Czarnoleskiego. Inny członek Towarzystwa, miejscowy kolekcjoner JAN GRUDZIEN sam zabrał się do łopaty, gdy upał wyeliminował ludzi Wojciecha Twardowskiego. Księża: kanonik DANIEL PACEK, emerytowany proboszcz zwoleński i jego następca, ks. dziekan FRANCISZEK GRONKOWSKI dodają przez cały czas otuchy poszukiwaczom. Cały Zwoleń żył Kochanowskim (a po trosze i z Kochanowskim), ale teraz szczególnie — kto żył, kibicując. Nawet zwoleński naczelnik, mgr ANDRZEJ LESISZ, z wykształcenia antropolog, nie tylko doglądał go gospodarce prac, ale czyniąc honory domu podejmując gości napojami chłodzącymi i reglamentowaną kawą z domowych zapasów. Badać i orędownik poszukiwań szczątków poety, którego dociekania doprowadziły archeologów do tego właśnie miejsca poszukiwań — milczy. W trzecim dniu bezowocnych działań, gdy słońce już wszystkich także wie wykończyło, jest wściekły. Także na tych, którzy przestali wierzyć w sens dalszego kopania. Tym członkiem jest oczywiście nasz dobry znajomy, Kazimierz Borek z „Literatury”; czas zdradzić, że to już miało lat siedem, gdy — konsekwentnie — wprzagnawszy reporterские metody do publicystycznych warsztatów historyka, badał wszelkie ślady po mistrzu Janie, współpracował z takimi tuzami od staropół-

Prof. Tadeusz Dzierżykray-Rogalski w trakcie badania szczątków rodziny Kochanowskich. (Fot. Zbigniew Święch)



Dawna kostnica obok kościoła parafialnego z kaplicą Kochanowskich w Zwoleń. Szczątki poety i rodziny Kochanowskich znalezione pod posadzką, w partii środkowej, poniżej drzwi. (Fot. Archiwum „Literatury”)

prają się i denerwują nad wykopem. Czy ta głęboka dziura w ziemi okaże się w końcu ostatnim grobem naszego wielkiego poety?

W czwartym dniu, gdy Wojciech Twardowski z Janem Grudziem dalej kopią — cała komisja udaje się do oddziału radomskiego muzeum w Zwoleń. Tu następuje ujawnienie pierwszej archeologicznej sensacji. Tu prosi się wyjaśnienie, że prace poszukiwawcze rozpoczęły się oczywiście od wstępnych eksploracji w krypcie Kaplicy Kochanowskich zwoleńskiego kościoła dużo wcześniej, dokładnie 8 października 1981. Później archeolog Wojciech Twardowski dostał się do dolnych, ziemnych partii pod kryptą, a badania swoje kontynuował od końca kwietnia i w maju 1982. Wydobyl stamtąd i starannie w skrzyni zabezpieczył szczątki Anieli Kochanowskiej (zmarłej w 1832 roku), teściowej naczelnego wodza Powstań Listopadowego, generała Jana Skrzyneckiego — oraz innych członków rodziny Kochanowskich, które uchwyciły się do wszelkich przenośników w XIX wieku. Sprawa to nader ważna, a do tego, jakie były peregrynacje szczątków Jana Kochanowskiego powróć na chwilę,

dwa, położonych blisko siebie, miejscach.

Jakieś fatum zawisło nad pośmiertnymi losami czarnoleskich poety. Według Boska — jak już wiemy — pierwszy grób poety znajdował się w farze św. Michała w Lublinie. Ze Starówki lubelskiej „pocięła” Dorota Kochanowska przeniosła zwłoki małżonka pod zwoleńskie kościół. Wtedy też, nad miejscem drugiego pochówku, w dwadzieścia kilka lat od śmierci poety, zawięła jego płaskorzeźbioną podobizną w marmurze, z cytowanym przez mnie już napisem. Jest to najbardziej znany konterfejt poety i chyba najbardziej zbliżony do jego realnego wyglądu. Przecież w chwili, gdy marmurową tablicę przypinało, było jeszcze wielu ludzi, dobre go pamiętających. Zresztą kwestia podobizni poety, znanych z ikonografii, jest tak samo zawiślana, jak wszystko, co jego dotyczy za życia i po śmierci. Dziwnym trafem,

